N. 1.

TYGODNIK WILENSKI

Tygodnik Wileńſki wychodzi w każdą ſobotę, składa ſię z arkuſza, zawiera w ſobie Zabawy przyiemne i pożyteczne wierſzem i prozą. Doſtać go można w Wilnie w Xięgarniach i Drukarni XX. Bazyianów. Cena groſzy 20.

---

23 Marca 1804. Roku.

DO NIEWIERNEY.

Naśladowanie z Metaſtazego.

Dzięki za twą nieſtateczność,
Za twe fałſze, zdrady, ſprzeczność,

A Bo

Bo znów na wolność wychodzę;
Serce dawne węzły zrywa
Trosk swych więcéy nie ukrywa,
Już się próżnym snem nie zwodzę.

Cały móy ogień zgaszony,
Ni iak dawniéy gniew zmyślony,
Nie tai żądz sprzecznych woyny.
Możesz bydź przy mnie wspomniana,
Y chwalona i kochana,
Patrzę na wszystko spokoyny.

We śnie się tobą niełudzę,
Ni ty iesteś gdy się budzę
Przedmiotem mego żądania;
Bez wzruszenia cię dotykam,
Porzucam cię i spotykam,
Bez żalu i bez zmieszania.

Pamięć twych kochanych wdzięków,
Pamięć moich łez i ięków,

Le-

Legła w zapomnienia grobie;
Sądź nawet, iesli iuż calem
Nie ostygł, gdy z mym rywalem
Zimno rozmawiam o tobie.

Bądź dumna, bądź nie stała,
Twoia śrogość tyle zdziała,
Ile twa grzeczność zdradliwa;
Twóy mnie głosek nie uroczy,
Y nie wyśledzą twe oczy
Drogi, gdzie serce przebywa.

Twoie wzgardy, lub pieszczoty,
Moią radość, lnb zgryzoty,
Już zrządzić nie maią siły:
Bez ciebie lubię gaiki,
Widok skał i pustyń dziki,
Y z tobą iest mi nie miły.

Jeszcze mi się piękną zdaiesz,
Ale iuż tém bydź przestaiesz

Aż Co

Co me zmyſły zachwycało:
Widzę gdy ſpadła zaſłona,
Ześ nie cudownie ſtworzona,
Jak mi ſię przedtém zdawało.

Gdym zrywał łancuchy moie
Jak ſrogie ſtaczałem boie,
Myślałem że umrzeć muſzę;
Lecz wſzyſtko przebyć jeſt zdolnym,
Kto chce bydź koniecznie wolnym,
Y kto odważną ma duſzę.

Tak to z klateczki zdradliwéy
Ptaſzek ſłaby i lękliwy
Wyrwawſzy z trudnością ſkrzydła,
Zegna ſię z ſwoim więzieniem
Y uczy ſię doświadczeniem,
Pomiiać zdaleka ſidła.

Sądziſz że cię kocham ieſzcze,
Gdy ſię z twym obrazem pieſzczę,

Y

Y wspominam to co było?
Lecz ten co portu dopada,
Z przyiemnością opowiada,
Co mu się wdrodze zdarzyło.

Woiownik okryty chwałą
Gdy mu zwycięstwo sprzyiało,
Lubi wyliczać swe dziła;
Y więzień zrzuciwszy pęta
Powiada, iák go zawzięta
Dzikość tyranów dręczyła.

Tłómaczę się nadto szczerze,
Zwrotowi twemu nie wierzę
Lucyno niegdyś zbyt miła!
Y nie możesz się spodziwać,
Abym się chciał dowiadywać,
Co omnie będziesz mówiła.

Wdzięki twoie w całéy sile,
Nie znaydą łatwości tyle,

Dru-

Drugim takie zadać rany;
Wemnie to mniéy troſków wznieca,
Ja wiem że druga zwodnica,
Gotuie dla mnie kaydany.

ANEKDOTY PIRONA.

Pewien młody Autor czytał przed Pironem traiedyą, którą w krótce miał dać na teatr; za każdym ſkradzionym wierſzem, Piron uchylał kapeluſza, i takto częſto powtarzał, że Autor ſztuki zdziwiony badał ſię, jakaby tego była przyczyna. — Oto odpowie mu Piron mam zwyczay witać ſię z memi znaiomemi.

W iednym prawie czaſie wydał Piron paſterkę, pod tytułem *wyścigi w Tempé* i Komedyą *amant ſkryty*, którą z oklaſkiem przyięto, pierwſzą zaś wygwizdano. Na co Piron rzekł ſwoim przy-

przyiaciołom: publiczność mnie z iednéy ſtrony pocałowała a z drugiéy ogromny dała policzek.

Pewien Poeta przyniósł Pironowi gruby rękopism ſwych wierſzy proſząc go, aby ie przeyrzał, i aby te wierſze, które uzna za złe naznaczył krzyżykiem W kilka dni potém Piron oddał mu tenże rękopism — Cóż to rzecze Autor z ukontentowaniem nie widzę żadnych krzyżyków? Chciałżebyś odpowie mu Piron abym z twego dziełka cmentarz zrobił?

O SMIERCI

Myśl z Malherba.

Ubogi w ſwoiéy chacie pod ſłomianym dachem,
Przed iéy prawem pełźnie z ſtrachem,

A war-

A warta co u Dworu Królów naſzych
czuwa,
Z iéy władzy ich nie wyzuwa.

SATYRA

Choć bym ſtyle co Delille miał ſławy we dwoie,
Nigdy na ton tak czuły lutni nie naſtroię;
Przyznam ſię że mnie nudzą te paſterſkie baśnie,
Przy których częſto ſłuchacz i czytelnik zaśnie.
Wierſz co innym Poetom ubóſtwo oſładza,
Nigdy mnie w uroione sfery nie wprowadza,
Nie złudzonym w około ſiebie patrzę okiem,
Miłym ieſt wieś zaiſte i dla mnie widokiem,

Lecz

Lecz nigdy na zielonéy nie śpiewam murawie,
Laurę zaiętą w słodkiey z Filonem zabawie,
Gdy tam widzę nędznego parobka za pługiem
Dychaiącego ledwie pod ciężkiem kańczugiem.
W ſaméy rzeczy te myśli słodko romansowe,
Serce oziębłém czynią zawracaiąc głowę;
Jednaż to Dama modna pomiędzy cyprysy
Łzy leie nad zmyśloném nieſzczęściem Klarysy,
A nieczuła i ſkąpa, wyſzczuć każe psami,
Ubogiego co kawał chleba żebrze z łzami.

Nay-

Nayczęściey ci nam wieyſkie ſpiewaią zabawy,
Co nie wyſzedłſzy krokiem z Wilna lub Warſzawy
Nudząc ſię, bo zazwyczay bez groſza w kieſzeni,
Wzdychaią do ſtrumyków i chłodnych zacieni.
Tych wſzyſtkich Romansiſtów kazałbym za karę,
Zawieść do cudzéy wioſki choćby na lat parę,
Aby ſię przypatrzywſzy wſzyſtkiemu do woli,
Poznali iaki ieſt ſtan pilnuiących roli,
Gdy w iesieni pan i żyd, pop i podſtaroſci,
Zdzieraiąc wſzyſtko z chłopa biią bez litości;

Do-

Dopiéro to wyſzedłſzy z ſwego oma-
mienia,
Klęliby gaie, łąki, ſtrumyki i cie-
nia;
A codzień w iednoſtayney zi.idzeni
zabawie
Rzekliby: dobrze na wsi lecz lepiéy
w Warſzawie,
Lepiéy daleko bracia, niewątpmy
już otém,
Dobrze ieſt ſwoim własnym zaprzą-
tać ſię ſkotem,
Ale nie maiąc wiosek. o które dziś
trudno,
Lepiey Eklog nie pisać, niż ie pisać
nudno.
Czyliż prócz nich, przedmiotów
dość pięknych niemamy?
Niechay Damon zabawia romanſowe
Damy,

Niech

Niech ich czułe umysły żałośnie rozkwila
Następca Karpińskiego i tłumacz Delilla;
My bracia porzucaiąc te dziecinne ślady,
Z Węgierskiego i Boileau chwytaymy przykłady,
Wyśmieymy tych co oni wyśmiać zapomnieli
A potomność z ich sławy i nam część udzieli.

Wyszło tu z druku dziełko nowe pod tytułem *Bayki i Krotofile oryginalne i tłumaczone*. Umieszczamy wyiątek, aby Publiczności dadź o niém wyobrażenie. Dostać go można w Xięgarni Akademickiéy, cena złł: 2.

MAŁ-

MAŁZENSTWO MODNE.

Zeń się — albo nie lepiey w wolnym
zostać stanie.—
Dobrą miałbyś partyą — broń mnie
Chryste Panie.—
Stóy no może w gust wpadnie — ba-
iesz móy kochany.—
Lat piętnascie — więdnieie kwiat
wcześnie zerwany.
Ma rozum — taka żadnéy nie słucha
przestrogi.—
Y piękna — to też piękne mężom sta-
wią rogi.
Czuła — to w sercu chytra — skromna —
bierz ią kacie.—
Y trzy wsie ma w posagu — żenię się
móy bracie.—

DWAY

DWA KOGUTY.

Dway koguty żyli zgodnie,
W tém ſię kura nawinęła,
Zawiść wſtrzęſła ſwe pochodnie,
Y iuż ſię woyna zaczęła.
O miłości okrutna te ſą żarty twoie!
Tyś zgubiła ſławną Troie;
A twa ſtrzała w ſtal okuta,
Razi Boga i koguta.
Skoro więc na podwórzu kureczkę
ſpoſtrzegli,
Rywale ſię zbiegli,
Miłość z ich oczu wrzała,
A zawiść ſercem miotała.
Nie długo myśląc, poſzli oba w czuby
Każdy z nich pragnie doſtać kurki
lubéy.
Na ten ſię widok kwoczek zbiegło
wiele,
Długo walczyli nieprzyiaciele;

Na-

Nakoniec pierwſzy drugiego pokonał.
Zbity zaledwo z rospaczy nie ſkonał;
A zwycięsca pełen chwały,
Podleciał na dach śpiéwać ſwe pochwały.
Uſłyſzał iaſtrząb te zwycięſkie tony,
Przypadł i porwał koguta w ſwe ſzpony,
Więc korzyſtaiąc z ſmutnéy awantury,
Na iego mieysce wſzedł rywal do kury.
Niech nikt z żyiących z ſzczęścia ſię nie chlubi;
Zbytnia pomylność zazwyczay nas gubi—

WRO.

WROBLE i KOSCIOŁ
B A Y K A.

Odnawiaiąc Kościoł ſtary,
Wróblów z niego wypędzono.
Lecz gdy ſtanęły filary
Y robotę dokończono;
Wroble ſię nazad wracaią,
Lecz darmo, weyścia nie maią,
Wſzyſtkie zalepiono dziury
A gdy ſię coraz gromadzą
Jeden rzekł: na cóż te mury,
Teraz ſię bracia przydadzą? —

NB. W tym Tygodniku prócz innych materyi, umieſzczane zawſze będą Anekdoty, przypowieści i dowcipne ucinki ſławnych ludzi.

№ 2.

TYGODNIK WILENSKI

Dnia 30. Kwietnia 1804.

Wyiątek z podróży Professora Kalm do Ameryki północnéy.

Pan Kalm Profeſsor Uniwersytetu w Abo w Finlandyi ſzwedzkiéy był posłany koſztem Akademii ſztokolmskiey do północnéy Ameryki dla uczynienia niektórych dostrzéżeń w historyi naturalnéy, rękodziełach i kunſztach. Umieſzczámy tu jego opisanie o wężu czarnym i żabie ryczącéy, o których wątpimy, aby kto w polskim języku wspomniał.

Widziałem, powiada on, w północnéy części New-Jersey węża czarnego, któregośmy zabili. Ten gad gdy dóydzie właściwéy sobie wielkości, ma pięć stóp długości, ale przy tém barzo jest cienki, naygrubszy z tych, które widziałem, miał trzy cale szerokości, grzbiêt ma czârny, lśkniący i gładki w dotknięciu, spód głowy biały, brzuch zaś szarawy. Mnóstwo się takich wężow w tym kraiu znayduie. Pokazuią się wcześnie na wiosnę, czasem, gdy są dnie pogodne i cieple wyłażą w miesiącu marcu, lecz gdy ich mrôz zachwyci, znayduią je pomarzłe na lodzie; przy ogniu jednak lub w cieple trzymane zaczynaią żyć na nowo.

Nie ma gatunku wężow, któreby tyle były zwrótnemi, ile są czarne węże, tak się szybko czołgaią, że ich

za-

zalédwo rączy pies dogoni. Jeżeli się pędzą za człowiekiem, uciéc przed nimi nigdy nie zdołá, to tylko jest nay większém szczęściem, że ich ukąsze- nie nie iest iadowite i niebezpieczne. Widziałem przez nie skaléczone oso- by, rany ich takie były właśnie, jak kiedy się kto nożem okaléczy. Rzad- ko się na kogo porywaią i to chyba na wiosnę w tenczas, kiedy się paruią, i jeżeli przytym poznaią, że się ich człek lęká, na tenczas podobni do na- szych fanfaronow, śmiało napadaią i czasem kaléczą; ale ieżeli kto męż- nie się im stawi i kijem napastuią- cych przywita, uciekaią w tedy z taką szybkością, z iakąby za mniéy odwa- żnym goniły. Słyszałem od wielu, że kiedy się rzucaią na kogo, wiią mu się około nóg, i zwaliwszy na zie- mię po kilkakroć kąsaią.

Powſzechnym jest przesądem w Ameryce północnéy, jakoby te węże ſwym wzrokiem ptáki i wiewiórki czarowały; powiadaią, że gdy się który z nich pod drzéwem położy, znayduiące się na niém ptáki, lub wiewiórki radé, czy nie radé, do jego pyska otwártego wpadáć muſzą. To tylko péwná, że czółgáiąc się po drzéwach, łapią czásem ptaki, czasem wdarłſzy się do gniázda, młode zjadaią ptafzętá, lub iaia wypijaią. Chwytáią kury około domów i mléko nadzwyczaynym lubią ſposobem, trudno się ich pozbydź, kiedy się do jakiéy wnęcą komory. Tak ſą z nimi oswoieni tamtéysi mieſzkańce, że niéraz widziano ich na dziedzińcu z jednéy miſy z dziećmi jedzących, nie ráz kiedy się dziéciom uprzykrzy to ſpółkowanie, albo kiedy wąż je nadto łakomie,

mie, łyſzkami biją go po głowie.

Nigdy nie słyſzałem ich sykania, kiedy który z nich chce się popatrzyć wokoło siebie, podnosi się do połowy. Co rok zrzucaią skórę, która podług opinii tamteyſzych mieſzkańcow ma bydź na kurcz barzo skutecznem lekárstwem.

Jadąc dnia pewnego konno, usłyſzałem o podal ryczenie chrapliwſze nierównie od ryczenia wołu, dóyść nie mogłem zkądby pochodziło? zdziwiłem się niemało, gdy mnie tamteysi mieſzkańce zápewnili, żem usłyſzał żabę ryczącą, jakich się bardzo wiele w tym kraju znayduie. W rodzaiu żáb pierwſze bez wątpienia mieysce one trzymáć powinny, wielkość ich jest nadzwyczayná, w iesieni, kiedy mrozy nastaią, zanurzâią się w głębi stawów i wód błotnistych,

na

na zimę zamieraią, na wiosnę wychodzą z swych pieczar, i na nowo bagna i stawy osiadaią. Gdy wszystkie razém krzeczą, wrzask ich tak jest głuszący, że rozmawiaiący nad stawem słyszéć nawzaiem siebie nie mogą. Wszystkie razem krzeczeć zaczynaią, i razem wrzask swóy kończą, zdaie się, że w téy nieprzyiemnéy muzyce maią dyryguiącego. za którego skinieniem wszystkie razem zaczynaią lub kończą swoię harmonią, siedzące nad stawem za naymnieyszym hałasem w wodę wpadaią, trudno wierzéć, że za iednym skokiem 15 albo 18. stóp przesadzaią. Co do tego, tę mi raz powieść zamieszkały w tym kraiu szwed opowiedział. Chcąc doświadczyć, iak szybko żaba dostać się może do stawu, założyli się szwedzi z dobrze biegaiącym indyaninem, że jéy do-

gnać

gnać nie zdoła, jeśli tylko trzema skokámi wypuści ią naprzód. Gdy stanął zakład, zaniesiono żabę na łąkę, tam iéy dlá postrachu grzbiet przypiékłszy rozpalonêm żelazem, po wytrzymaniu czasu umówionego zaczął za nią gonić Indyanin ilé miał siły: Ogień i hałás biegącego za nią indyanina tak ją przestraszyły, źe podwoiwszy susy prędzéy od niego do mety dobiegła. Wieśniaczki żab tych nie lubią, chwytaią im bowiem młodé kaczęta i gąsięta. Zęby maią drobne, iednak nie wiem czyli kąsaią; krzyczą iak dzieci, kiedy ich kto bije, niektòrzy iedzą ich uda i dość w nich smaku znayduią.

Errata Nru I.

Karta 1. Bazyianow, czytay: Bazylianow, 23. Marca, 23. Kwietnia.

Wyiątek z Księgi III.

o Ziemiańſtwie Wirgiliusza.

Strzéż się, strzéż się miłości, jéy
zdradná ponęta
Y naysilniéyſze nawet wyniſzcza by-
dlętá.
Niéch górą niedostępną, niezgłębnym
Dunaiem,
Rozłączą różno-fárbną jałowkę z bu-
hajem;
Lub gdziéś w ukrytéy stayni podál od
kochanéy
Niéch przy roskoſznêm jadlé stoi u-
wiązany:
Obok niéy ſchnie z miłości, ſmuci
się i błąká,
Jemu w tenczas obrzydnie i strumyk
i łąká.
Nie ráz narod bydlęcy zwaśniwſzy
ſpokoyny,

No.

Nowa Helena wzywa rywalow do
woyny.
Wesołá po kwiecistêy łąk buia prze-
strzeni,
W tém dumni zalotnicy lécą zapie-
nieni,
Obá zarôwno silni, i równie zaiá-
dli,
Z nadzwyczaynym łoskotem ná siebie
napadli,
Ogień im z oczu pryská, káżdy moc
wywiéra,
Stokroć tłuką łeb o łeb, róg się z
rogiem ściéra,
Szarpią w ſztuki ſwe ciało, krwi
płyną potoki;
Na ich stráſzliwé ryki zaiękły obłoki.
Nie máſz u nich traktátu: gdzieś w
odległe strony
Bieży ſwoie nieſzczęście ukryć zwy-
ciężony,

Pla.

Płacze, że krwią zwycięstwo rywała
przypłacił,
Że sławę, lecz co więkfza, że ko-
chánkę ſtracił.
Raz ieſzcze ſpoglądaiąc na ten zakąt
miły,
Opuſzcza państwo, którêm naddzia-
dy rządziły.
Lecz próżno przed postrzałem miłości
się chroni,
Miłość i w tę odludną puſzczę za
nim goni,
Tam na twardéy śpiąc skalé, brzyd-
kie gryząc trawy,
Zły i wściekły uczy się pomścić ſwéy
niesławy;
Zakrzywionymi rogi na dęby naciéra,
Nogą tłucze o ziemię, łbem wiatry
przedziêra,
A kędy tylko zwróci ſwôy pęd rozhu-
kany,

Wſzę-

Wszędzie ciemne po sobie zostawia
tumany.
Lecz dość tego, gdy się w nim wzmo-
gła zapalczywość,
Zbyt dumnego zwycięzcy bieży truć
szczęśliwość.
Tak na morskiéy przestrzeni wprzó-
dy bałwan mały
Wznosi się, wzdyma, zwiększa, i
tłucze o skały,
W tém ta góra wodnista samych Nie-
bios bliska
Upada; a z iéy gardziół czarny muł
wytryska.
Miłości! któż cię nie czuł? nie dźwi-
gał twe pęta?
Wszyscy, i człek co myśli, i dzikie
źwierzęta,
Ci co w dział skrzelâ wzięli, i ci,
którzy skrzydłâ,
Miłość! i ty rozżarzasz dzikich puszcz
straszydła.

W ten-

W tenczas tłukąc swe piérsi lwica zbyt nieczułâ,
Opuszcza swoie lwiątká, z kątá się w kąt tulá;
W tenczas to za niezgrabną pałáiąc roskoszą,
Czarni niedźwiedzie wszędzie strach i śmiérć roznoszą,
Wtedy Tygrys roziadły swą paszczę zakrwawia:
Nieszczęsny! który w ówczas podróż tam odprawiá.

L'abbé Regnier sekretarz Akademii zbiérał pewnego dnia skłádkę w kapelusz, każdy członěk kładł weń dukata; niepostrzegłszy że ieden znich, który był wielkim sknérą dał swoią cząstkę, nadstawił mu powtôrnie kapelusz, ten go upewniał,

że

że iuż to oddał, co na niego przypadało. Chociążem tego niewidział, wierzę WaćPanu, odpowie Regnier, a ia, rzecze obok stoiący Fontenel, lubom widział, iednakże temu wierzyć niemogę.

Xiężna Maieny pytałá się ráz kilku świátłych ludzi, ktôrzy się zeszli do iéy domu: iakaby była różnica między nią, a zegarem? wszyscy niewiedzieli co na to odpowiedzieć. Kiedy wszedł Fontenel, Xiężna zadała mu toż sámo pytanie, ôn w ten moment tak iéy rzecze: „zégár wskazuie godziny, a Wasza Xiążęcia mość każesz o nich zapominać.

Fontenel miał domék wiéyski w okolicy Paryża, dniâ pewnego, kiedy

w

w nim przyimował wielu Akademików, między którymi znaydował się Meiran, roztrzęsali układ Cartezyusza i Newtona, każdy różnego był zdania, w tém iednaraząą, Fontenel przerywaiąc spory, które dosyć szły z zapałem, w té się do nich odézwał słowa, Mości Panowie! przez iakie prawidła Filozofii tych dwóch wielkich ludzi potrafilibyście wytłumaczyć ten fenomen, który się wydarzył w moim ogrodzie! O to wielka kula szklánna, wystawiona na działanie słońca, gorąca iest ze spodu, gdy tym czasem z wierzchu zupełnie iest zimną. Przystąpili wszyscy do kuli, obrácali ią na wszystkie strony, to znowu kładli na swoie miéysce, przekonywali siebie na wzaiem, kłócili się, krzyczeli, i na reście z niczém każdy mrucząc poszedł

szedł na obiad. W czasie przechadzki zaczęli się znowu zastanawiać nad odkryciem tego szczególnego zdarzenia: każdy się z dobywał na coraz formalniéysze argumenta, a to z naywiększą żywością: w tém Fontenel zawołał „ Panowie! doszedłem doszedłem, wszyscy umilkli i z niecierpliwością oczekiwali wynalązku: Kula mówił on z uśmiéchem była z wiérzchu gorąca, lecz ią obróciłem, dla tego teraz ze spodu gorąca, a z wiérzchu zimna.

DO MOTYLA

z Saint Lambert tłumaczenie:

Motylku latay, dla cię więzów niémá;
Już spełzła ponura zima:
Gaiczek w dary wiośniane bogaty,
Wabi cię na wonne kwiaty.
Bardziey gach, niźli wiernośei oddany,

Bar-

Bardziéy natrętny niżli rozkochany,
Kwiátków powabnych miiaiąc grono
Spiész róży uściskáć łono,
Gust coráz żywszy miłośna ponętâ,
Niecháy twe przy niéy zaymuią momenta,
Tryumfuy*, gdy cię iednostayność znużу,
Co tchu motylku léć do drugiéy róży:
Kochać i zdradzać niech twém prá-wem będzie:
Zyy i umieráy w tym roskosznym błędzie
Takiem wprzód dlá się układáł prawidłá;
Lecz, gdy natury naypięknieysze dzieło:
Zosia mnie w swoie uwikłała sidłá:
Wfzystko zniknęło.

Ten Tygodnik wychodzi w każdą sobotę, kosztuie gr: 20. przedaie się w Wilnie w xięgarniach i w Drukarni Dyecezalney.

№ 3.

TYGODNIK WILENSKI

Dnia 7. Maia 1804.

Powieść wyięta z podróży Pana Wernes do Paryża.

Przyiechawszy w roku 1794. do Paryża, gdym się dnia pewnego przechadzał po nowym moście, (Pont neuf) spostrzegłem hurmem skupioné pospólstwo. Ciekawością zdjęty, poszedłem na to mieysce, i uyrzałem kłócących się dwóch iedno-

C okich

okich i gârbatych żebráków. Jeden z nich był rzeczywiście kaléką, a drugi umyślnie przybrał tákową postać. Za co piérwszy oskârżał drugiego przed publicznością, iako uwłaczáiącego mu práwa do litości powszechnéy, chociaż nie miał honoru bydź ani iednookim, ani gárbatym. Ták iest Obywatele, (wołał prawdziwy kaléká nasuwaiąc na głowę wyszárgány tróygrániásty kapelusz, stosówny do reszty iego ubioru, i wspinaiąc się, ile mógł na palcách aby przez to odzyskał co mu nátura z innych względow uięła) Tak iest: donoszę wám, że ten oszust te garby i ślépotę sfałszował, nie wartże on káry, że tak haniebnie oszukuie publiczność? kiedy przybieraiąc na się niepospolitą i zacną postâwę, wypchał sobie z umysłu gárb podu-

duszką, i plaster na zdrowe oko przyłożył. W cóż ia się obrócę, kiedy każdy wdzierać się będzie do mego rzemiosła! na cóżby mi się garbatym urodzić przydało! któż moią Zonę i dzieci wyżywi! żadne z nich do mnie podobném nie iest, a kalectwo moie lédwie na utrzymanie familii wystarczy. Do waszéy się więc odwołuię sprawiedliwości Obywatele! każcie oszusta tego rozébrać, a ieżli pod tym garbem znaydzie się poduszka, a pod plastrem zdrowe oko; żądam, aby mu obie wyłupione były, i aby mi za straty poniesione z iego przyczyny sowicie nadgrodził. O: bywatele! odpowiedział drugi z flegmą, niesądzę, aby w tych czasach, kiedy nam głoszą prawa człowieka, niewolno było bydź garbatym, albo iednookim podług woli, ieżli mi na-

Ca tura

tura uięła oko, albo w swém dziwactwie garb przydâła, lub, gdy mnie nędza przymusza przywdziać na się tę postawę; w obu râzach nie iestemże politowánia godzien? kto wie: czy môy kolega umyślnie sobie krzyżow nieprzełâmał, i oka niewykłuł? a z resztą przyznaycie obywatele! że nic mniéy ważniéyszego, iak ieden mniéy lub więcey garbaty, albo iednooki na świecie. Jak to ieden? odêzwie się drugi, więcéy sta znaydziecie, którzy wâs podobnym sposobem oszukuią. Oni to przyprâwiwszy sobie według potrzeby różne członki, korzystaią i bogacą się z waszéy ludzkości. Cały dzień lâtaiąc po Paryżu za iałmużną, wieczorem zszedłszy się na umówionê miéysce kończą zmyślone role, narzędzia i dzienne dékoracye skłâdaią; na ten-

czas

czas ślêpy widzi, garbaty prosto się trzyma, kuláwy tańczy almandá, którego mu bezręki przygrywa, głuchy niemego radośnym piośnkôm wtóruie, wszyscy hulâią za pieniądze, które przez dzień wydrwili, błogosławiąc poduszki, plástry, leszczoty, i kule. Kłâmiêsz bezwſtydnie, garbaty" szaleńcze! odpowiê drugi rozgniéwâny, hucznemi śmiêchami, których stał się przedmiotem. Na ten zârzut kolega ogromnym mu odpowiedział policzkiem, i nieczekaiąc dłużêy poszli oba w czuby. Tego też właśnié żądało pospôlstwo. Walká długo trwała nakoniec poduszka i plaster zlêciáły z szalbierza z niewymówną przytomnych radością, i wtedy fałszywy kaleka démaskowany, odszedł z urągániém się pospôlstwa, i wygránę zostawił przy walêcznym zwycięzcy

którego

którego przytomni liczną obdârzyli iałmużną, Nie na tém się rzecz ukończyła, szedłem z dałéka za zwycięzcą śmieiąc się z szczególnego fortelu iego rywala, ale przytomnośc umysłu, ktôrą oba okazali, wżniecila wemnie iakoweś podeyrzenie. Sprawdziłem ie wkrótce. Na ciasnym bowiem zaułku zoczyłem tych dwóch rycerzy, którzy złączywszy się dzielili między sobą korzyść tey walki. Niech cię djabli wézmą, rzekł ieden drugiemu: iuż gârb źléciał, a tyś po moim grzbiécie walił kiiem, iak po bębnie; „Ho!ho! odpowie mu kolega: to też lepiéy nasz figiel pokryło.

Znali oni paryżanów; rozmieszyć ich koniecznie potrzebą. Cóżby zyskáli, gdyby tylko litość w nich wzbudzili?

Czary

CZARY

Myśl wzięta z romansu Leszek Biały, Irena Xiężna Rosyyska nie będąc wzaiemnie kochaną od Leszka Xiążęcia Polaków udaie się do czarów Paraski.

Tâm, kędy się Dniepr toczy śpiénionemi wały,
Warcząc, że mu wprost w morze nié daią wpaść skały:
Są bagna niedostępne, iáskinie ponure,
W pośrodku których widáć niebotyczną gôrę,
Tę ciemnà mgła otácza, z niey żyżność uchodzi,
A sępy, kruki, ziélska, i méch śplésły rodzi.

Tu

Tu iest krây Czarodziéystwa, tâm
Paráska żmiérza,
Spuszcza się w pośród pieczár na-
kształt nietopérza;
Czarownice, gdy swoią królową po-
strzegły,
Wnet z krzykiem przeraźliwym gro-
mâdą się źbiegły.
Paráska szepcąc cicho nieznánémi
słowy,
Rękę wzniosła, poddáni schylili swe
głowy,
Potym zwróciwszy na wschod swoie
oczy rzekła;
„Niêch mi tu zarâz staną wszystkie
larwy piekła"
Zdaie się iuż zniszczeniem zagrâ-
żać natura;
Trzykroć niebo błysnęło, rozpękła
się góra.
Jak od huku piêrzchaią zrâżone
Lamparty, Tak

Tak z pieczary pódziemnêy wynoszą się czárty;
A wszyscy z nich przybrali postácie, okropne,
Ci iak wilki zgłodniáłe na pástwę pochopne,
Jnni chytrość iaszczurék, lub srogość tygrysię,
Jnni zaś kły odyńcow, i pazury rysie,
Y pászcze krokodylow, gotowe na mordy,
Za temi znów szły duchôw nieżliczone hordy.
Tu Paráska spóyrzáwszy na wszystkie poczwâry,
Rzéknie: „ Ty królu piekła! Lucyferze stary!
„ Y wy rywąle Boga: waléczni szérmiérze,
„ Z których piekło ozdobę, i obronę bierze ,

„ Choć

„ Choć wás gnębi wszechmocny, wy iednak żyiecie,
„ Z nim dzielicie ołtárze, i trony na świecie;
„ Waszą więc powinnośćią zdrády rozpościérać,
„ Smiértelnym záwsze szkodzić, Bogu się opiérać.
„ Jest młody, co się boską opieką nádymá,
„Kocha iego hrena, wzaiemności niéma,
„ Idzie się pomścić, Niechay Bóg i świát obáczy,
„ Jak wiele wasza wściekłość i potęga znáczy!
Lecą iak ptáki, których pokármém są ściérwy,
Przepędzaiąc się, który z nich doléci pierwy.
Stwórca skoro to uyrzał, gdy swe czoło schmurzył,
Cáły się pułk szatána, w głąb piekłów zanurzył. Po-

Pochwała czasu

W niektórych wiekach, czas iest przedmiótém powszechnych skárg i narzékań, zowią go burzycielem, nic nieoszczędzáiącym. On to mówią, obala i niszczy naytrwalsze zabytki, ôn wlécze za sobą zgrzybiałość i śmiérć, nakoniec: świát cały w dzikie zamienia pustynié i ponurymi okrywą gruzámi. Odwáżmy się pómścić za niesprawiedliwie oskarżonego starca! dowodząc: że ieżeli czas iest niekiedy sprâwcą nieuchronnych nieszczęść; umié ie nadgrodzić obfitemi dobrodzieystwy, które zbyt szczodrze żléwa na ludzi. Uważmy człowieka od kolebki aż do ostatnie-

go

go schyłku. Z czasem zaczyna ón chodzić i gadáć. Z czasem członki się iego wzmacniaią i rozwiiaią się organa. Za pośrednictwem czasu napáwa umysł wiadomościâmi przyczyniaiącemi się do iego szczęścia; Sérce czuć zaczyna, nâmieiętności się obudzaią, wzrástaią, grożą i burza się zrywa, a tak tysiącem przeciwnych wiatrów skołátany błąka się nieszczęsny po przepaściách, gdzie go sâmowolnie rozhukâny bałwan zanosi. Na próżno mu rozumu przyświéca pochodnia, pomrók chmur ćmi iéy światło, i ta niemylná skâzówka nawałnicą zgruchotâna, w obłąd go tylko wprawuie. Któż zdoła stłumić rozhukáne fale? i ocalonego rozbita do portu szczęśliwie doprowadzić? Czas. On gâsi żądze, poskrámia gwałtowność namieiętności, szczęśliwość

wość i pokôy sércu człowieka przywráca. Tymczasem maiątek wystarcza zalédwo iego potrzebom, dármo usilnie pracuie; dostatek za którym się ubiegáł, c z a s mu tylko nadáie; c z a s powoli wyświéca iego wártość, otwiéra mu drogę do honorów i zyskównych urzędów.

Klorys się żali, że z c z a s e m zwiędły iéy wdzięki; lecz iluż dobrodziéystwy nadgrodził tę strâtę. Płoche postępowanie przyćmiło nieco iey sławę, c z a s omyłki puścił w zâpomniénie, i dał odzyskać szacunek. Jéy sérce kochało bez wzaiemności i ta miłość truła iéy spokoyność, przy têm choroba wątliła iéy zdrowie; c z a s duszy i ciału wrócił zupełnie siły.

Doryda łzy lála po stracie kochanego małżonka; im więcéy przyiaciele starali się ią pocieszyć tym

bar-

bárdziéy rozjątrzali iéy boléść; c z a s nádszedł, który swym dobroczynnym balsamem uzdrowił iey zranioné sérce; wtédy zapomniáwszy umarłych, iedynie dla żyiących odzyskała wesołość i dawne wdzięki.

Damon chciał się podobać przyiemnéy i młodéy Filidzie, na próżno używa wszystkich środkow, iakich mu natura i oświecenie udzieliły. Usiłowania iego były bezskuteczne, Damon zostawił to c z a s o w i, C z a s zmiękczył sérce iego ulubionéy, ułágodził iéy srogość, i spełnił żądze uszczęśliwionego Damona.

A ryst przywálony długami, prosi o c z a s wierzycielów, ten nadarza śmiérć kréwnego, po którym Aryst bierze maiątek, c z a s pozwala mu zebrać kapitały, nastręcza piękną i bogátą wdówkę, i Damon záspokaia wierzycielów. Z c z a-

Z c z a s e m káżdą prácę przywieść można do skutku. Bez niego na próżno chciałbycokolwiekczłowiek rozpocząć. Podjąłbym się z ochotą, mówi ci przyiaciel, ukończyć twoią spráwę; ale niemám c z a s u. Dlá czego to dzieło ma tyle wâd? Oto autor niedość łożył c z a s u na iego popráwę. Czemu moia pochwała c z a s u iest tak krótka? gdy rzécz z siebie niewyczérpane stawiła mi źródła; oto tydzień nadchodził a iam się śpieszył z wydániem *T y g o d n i k a.*

L'abbé de la Victoire máwiał o péwnym, który zjádał cudze obiady, i źle o wszystkich mówił. Ten iegomość, ile razy gębę otwiéra, záwsze to z cudzą czyni szkodą.

Prze-

Przechodząc się z Chamfortem w Tuilleries skłonił mu się pewien źle ubrany. Kto to iest? zapyta Chamfort, iest to odpowie l'abbé de la Victoire, człowiek który to robi dla swoiey oyczyzny czegoby nigdy Brutus dla Rzymu nieuczynił zdziwiony Chamfort chciał się dowiedzieć co by to miało znaczyć, l'abbê de la Viktoire odpowie: oto ten Jegomość iest szpiegiem Policyi Paryskiey.

Gdy się śmiâno z żołniérza, że z plâcu uciekał,
Nie, rzecze: przecież nogi iednemum posiekâł;
Na tákową odpowiédz któś sprzytomnych powie:
„ Alboź nie lepiéy było rąbâć go po głowie?
Y ia to, odpowiedział, naypierwéy bym zrobił,
Lecz, żem nie zastał głowy, więc mu nogim pobił.

№ 4.

TYGODNIK WILENSKI

Dnia 14. *Maia* 1804.

o Miłości Synowskiéy.

Gdy raz pewnemu rozpustnikowi Matka łagodnie przekładała złe iego postępki, i gdy tysiącznêmi pobudkami iuż z prawideł moralności, iuż z Religii wziętêmi, chciała go przekonać i nakłonić do lépszego życia. On przerywaiąc, zuchwale iéy rzecze. ,, Mościa Pani, oddawnam wie-

„ dział o têm, że iest odwieczny Oy-
„ ciec, ale o mátkach wiecznie
„ żyiących bynaymniéy niesły-
„ szałém „ Na te słowa omdlała nie-
szczęśliwa. Przypadek ten iest pé-
wny i wielu stwierdzony dowo-
dami.

W cóż się obróci ten młodzieniec?
Już wyrok iego przeznaczenia iest
iawny. Jeśli mu w sámym kwiecie
młodości rozpusta życia nieukróci,
nieuydzie ręki kâta.

Nieszczęsny! śmiał wymawiáć dłu-
gość życia téy, któréy winien dni
swoie. Do dopełnienia tego nieludz-
kiego zuchwálstwa pozostawało mu
tylko w pośród naytkliwszych uty-
skiwań zabić wlásną matkę; lecz wre-
ście i tego ukontentowania doczekał
się, gdyż mâtka w krótce z rospâczy
umárła... Możeż sobie kto pomyśleć

by

by taki człowiek był kiedy dobrym obywatelem?

Bynaymniéy: sêrce niewdzięcznê nosi w sobie zaród wszystkich zbrodni a syn nieczuły łatwo się z nich każdéy dopuści.

Ze wszystkich cnôt obywatelskich i prywâtnych, miłość synowska i szacunek dziéci ku rodzicom, nayistotniéy są złączone ze spokoynością i szczęściém kraiu. Szacunek ten, od saméy natury wlany, dawnych i teraznieyszych prawodâwstw był zasadą.

Z przyrodzonego i nigdy niewygâsłego przywiązania dziéci ku rodziców, rodziła się miłość oyczyzny.

Zkądże pochodzi wyraz O y c z y z n a, ieśli nie od O y c á? Jakież on czucie przypomina, ieśli nie miłości, przywiązania i wzáiemnych związków? Jakże oyco-bôyca może bydź

przywiązanym do swego kraiu? Y czegoż się można spodziéwać potym, który przytłumił wrodzonę uczucia.

Niech to nas zgoła nieuwodzi, w sércu człowieka obok zbrodni cnota mieścić się niemoże, i nikt bezkarnie prâwa natury nieprzestąpił.

Ktokolwiek się odważył powiedzieć własney matce, „ nazbyt długo żyiesz „ ten wkrótce do tego przyidzie barbarzyństwa, że ią poświęci swoiéy wściekłości, ten się targnie na práwa, ieśli w tym tylko własny zysk upatrzy. Nayważnieyszą iest więc rzeczą połączyć związki polityczne z związkâmi familii, i przekonać narody, że bez uczuciów natury niemâ dlâ nich ani pokoiu, ani wolności; tak iak bez obyczaiów i edukacyi rządcy bezpieczeństwa, a práwa swoiéy trwałości mieć niemogą.

z J. B. Rousseau tłumaczenie.

Człowiek w ciągu swego życia,
Tysiączné ponosi bolé,
Krzyki, i płácz od powicia,
Przyszłą mu wróżą niedolę.

W dzieciństwie uciski nowê,
Xiążkâ się mu nudną staie,
Pedant mu zâwracá głowę;
Káżdy krzyczy, káżdy łaie,

Młodość, nieznâiąca mety,
Gorsza nad lâta dziecięcie;
Kupcy, dłużnicy, kobiety,
Miotâią nim, iak w odmęcie,

Gdy dóyrzéie; nowê spory:
Ambicya go nâdyma;
Dóm, bogactwa, blâsk, honory,
Zewsząd spokoyności niéma.

Uni-

Unikáią, gdy iest stary,
Staie się nudnym gawędą;
Kaszel, podagra, katary,
Razem nędznego obsiędą.

By wszystkich nieszczęść sprobował,
Mnich zaczął nad nim przewodzić,
Umarł; nikt go nieżałował,
Y miałże się po co rodzić.

Przestroga Mężom.

Pani L... młoda małżonka, dostawszy w podárunku kosztowny piérścién od swego amanta, a niewiedząc pod iakim go pozorem na pâluszek włożyć, użyła sposobu, który choć dobrze wymyślony, zawiodł iéy nadzieie.

Przywołáć káże swego Jubiliera. Panie M. rzecze mu: oto dyament, któ-

re-

regom dostała w podurunku, wiâdomo iest Wać Panu iak môy mąż zazdrośny -- Rozumiém -- Niewié, że go mâm. Bárdzo dobrze -- Weź Wać Pan i przynieś go iutro, gdy przy moiéy będę gotowalni; udáwây, że go chcesz przedać memu mężowi i naymnieyszą cenę załóż; ia go nakłonię do kupienia, ten dobry mężulo nic mi odmôwić nieiest wstanie. Tak nauczony odszedł Jubilier. Na zaiutrz przyszedłszy w łóżku ieszcze nadobną Panią L... zastał, mąż siedziáł przy niéy; ta widząc wchodzącego Jubilera rzecze mu Ah! Panie M... mocno się cieszę z iego przyiścia, ale nic w cále niepotrzebuię, i nic nie kupię -- Ale Pani może tę rzecz nábyć wpół dármo, iest to pierściéń brylántowy -- Pokáź W Pan -- Zdaię się na Jegomości. Ten go za-

chwa-

chwala i cudownym znayduie. Jakaż cena zapyta się dama. — Wstydzę się powiedzieć — Przecież, 300. czer: złł: — Tak iest, widzisz więc Pani, że gdybym niepotrzebował pieniędzy we troie bym zarobił. Tu dama nie uwâżna dała znâk Jubilierowi; mąż to w stoiącêm postrzegłszy źwierciedle, zgadł, albo się domyślił iakieyś w têm taiemnicy — W sámêy rzeczy rzekł: ten pierścień nie zdaie mi się drogim i ia go dlâ moiey żony kupuię — Jak zechcesz kochanku, ale mi nie iest potrzebny, wszystkim moim dogádzasz wymysłôm, na niczêm mi nie zbywa. Mąż stânął przy swoiém i zapłâcił; lecz iednak maiąc iakieś podêyrzenie rzecze iéy, iż chcę ten pierścień zatrzymać u siebie, abym znaiącemu się pokazał przyiacielowi; iakoż w samêy rzeczy zaniosł do drugiego Jubilie-

biliera, który ofiaruiąc zań 800. czer: złł: kupił go za te pieniądze. Poszedł potym Pan L... do Jubiliera namówionego od żony, który po wielu nalégániach przyznał się, iź go do téy przedâży Pani L... użyła. Odebráwszy więc od niego 300. czer: złł; powrócił do żony, chwaląc się iż na kupionym pierścieniu 500. czer: złł: zarobił. Pani L... płâkać i ubolewać zaczęła, lecz mąż te wrzaski uśmiérzył wyznaiąc iéy, źe 300. czer: złł: od Jubiliera odébrâł. Postrzegła w tedy, że się rzecz cała odkryła, przyrzekła głâdziéy na potém męża oszukiwać. Pewni iesteśmy, źe iéy na sposobâch nie brakło.

Myśli.

Zbyték rozumu tak iest częstokroć szkodliwym; iak zbyték w uciechach

Ná-

Nâtura obdarzyła nás skłonnościami które przytłumić równie iest niebeśpiecznie, iak im zadosyć czynić: „ Biáda uchyláiącemu zasłonę przy„ rodzenia „ mâwiał dáwniéy Filozof Egipski, który smutnie wiek swóy spędził na dochodzeniu początku i końca wszystkich rzeczy; A ia mówię „ biada temu, któryby zasło„ nę społeczeństwa uchylił biada te„ mu, ktoby chciał zniszczyć w so„ bie to omamienie teatralné, które „ potrzeby i przesądy na wszystkie „ rozciągnęły przedmioty. Dusza „ iego znękana nicość by wśród ży„ cia znalâzłá, a ta nayokropniéy„ szą iest męczarnią.

Prâwdziwą miłość przyrównać można do upiorów, wszyscy o nich mówią, a nikt ich iednakże niewidział

Ten

Ten który daie tak żeby widziano niewspomógłby nigdy biednego sam nasam —

Pomyśl dwa razy nim raz powiesz a powiesz dwa razy lepiéy —

Bogactwa służą mądremu a rządzą głupim —

Choroba idzie za niewstrzemięzliwością, a ubóstwo za lenistwem —

Ten kto chce uczyć siebie samego bierze głupca za ucznia —

Anekdoty.

Fontenel dziewięćdziesięcioletni przeszło starzec nagadawszy wiele słodyczy młodéy Pani Helwetius, przechodził obok niey do stołu nie po-

postrzegłszy iey – Patrzay rzecze mu ta, iak twoim słowom wierzyć można kiedy przechodzisz tu niespóyrzawszy nawet na mnie – Pani odpowie grzeczny starzec gdybym był spóyrzał na cię pewnie bym nieprzeszedł.

Dwôch mârnotrâwców sprzeczało się, któryby z nich przechodził drugiego w rozrzutności? „Zdaie mi się, rzekł ktoś na to, iak gdybym widział tych Jchmościow u drzwi szpitala czyniących ceremonie, kto z nich tam wéyść má pierwéy.„

Pe-

Pewiem Doktor dowodził P: Fontenel że kawa łagodną była trucizną. Tak w samey rzeczy odpowie mu Filozof musi bydź bardzo łagodną kiedy iuż przeszło osimdziesiąt, łat co dzień ią piię.

Pewien pokłócił się z znaiomą mu dobrze damą tâ mu groziła; że listy, ktôre miała od niego, kâże wydrukować „ Możesz to zrobić, odpowiedział, adressu tylko wstydzić się będę „

Posąg i Szczury.

BAYKA.

Pewien lud głupi, dziki, lecz pobożny,

W

W swoiéy świątyni czcił Bożyszczé
sławné,
Mniéyszy hołd mieli w Rzymie Bo-
gi dáwne,
Niż ten kloc, który ze środka był
próżny,
Y w którym myszy ze szczurámi
zgodne,
Od wieków miáły mieszkanie wygo-
dne,
Záwsze więc, kiedy nabożnisiów
zgráia,
Wyszła, pokármem opátrzywszy Bó-
stwo;
Szczurów łákomych wypádáło mnó-
stwo
Pożerać plácki, wędzónki, i ia-
ia;
A dzikie z Bożka czyniąc sobie
drwinki,
Zostawiały mu same okruszynki.....

Raz

Ráz świętokrádztwem takiém obruszony,
Wymawiał szczurom apetyt nie syty;
Ale nieborák zamilczał, iak zmyty.
Gdy mu z nich ieden tymi rzeczo tony:
„ Smiésznym dziś iesteś posągu! zekâty,
„ Zamiast wdzięczności, gapiu, szczurów łaiesz,
„ Wiészże czému się celém ofiâr stâiesz?
„ Czêmu twôy kościoł i ołtarz bogâty?
„ Oto, że káżdy co ci pokârm składa,
„ Mysli, że nie szczur, lecz, że go Bóg zjada. -
„ Bądźże posągu! rozumniêyszym daléy,

„ Y

„ Y dziękuy szczuróm, kiedy cię lud chwali.
Y u nas magnat nie ieden wspaniały,
Chciwym próżniakóm winien blask, swey chwały.

Wać Pan zbyt gadasz mospanie Michale,
Rzekł ktoś starcowi. — Znam to doskonale.
Ale dzień podniu słysząc głupstwa cudze,
Odpowie starzec: tak się niemi nudzę,
Że mi się znośniéy nie równie wydaie,
Samemu bredzić, niż słuchać ambaie.

Prenumerować i dostać tego Tygodnika można u JP. Zawadzkiego w Xięgarni JP. Bietscha.

N° 5.

TYGODNIK WILENSKI

Dnia 21. *Maia* 1804.

o Wzroście Nauk i Sztuk wyzwolonych.

Uskárżá się wielu na widoczny w Europie náuk i sztuk wyzwolonych upádek. Naybardziéy utyskuią, że malarstwo i snycerstwo od pewnego czasu w zaniedbaniu zostaią; zdaie nám się, iż wiek teraznieyszy nie zasługuie na tę potwátrz. Ludzie niesprawiee

dliwi! wy! co pokolenia żyiące tak niegrzeczną obmową szkáluiecie! przeydźcie się po piérwszych naszych stołecznych miastach, obeyrzyicie warstáty piérwszych rzemieślników, których moda wyroczniámi dobrego gustu nâzwała; a upewniám, że wkrótce odmienicie zdánia swe niebáczne. Co powiecie widząc podeszwy, i kształtne kroie botów, trzewików i mesztow? Ach! zapewne: te boskie ubiory błoto nie zwalá, nierówny bruk mieyski nie skrzywi, i formy im nie odmieni. Amatorowie zakupią i w piękne ramy osadzić ie każą, skąd te kosztowné zabytki, do naypoźniéyszêy przéydą potomności, i zemszczą się za tak srogo osławiony wiek nász. Usprawiedliwią rzemieślników, ktôrych oskarżaią, iż niesłusznie przy

brali

brali sobie tytuł artystów. Gdyby mi mocnieyszych potrzeba było dowodów na wsparcie wniosków moich, poprowadziłbym tych osławiaczów do piérwszych krawców i perukarzów paryskich. Nie wielka była zaiste sztuka Pigmaliona, ukształcić osobę wszystkiémi pięknośći powabami ozdobioną. Trudnieyszą iest rzeczą z brzydkiego płci niewieściéy dziwoląga młodą Hebę, albo nadobną Wenerę zrobić. Zagładzić garby, zrównać ramiona, nadstarczyć krótszą albo skrzywioną nogę, siwą lub wyłysiałą głowę w piękny kędzior, à la coq, à la Titus, albo à l'incroyable przebrać. Jednakże te wszystkie cuda każdy prawie krawiec, każdy perukarz uczynić gotów. Cóż powiemy? widząc zręcznych paryskich tokârzôw,

na prostém słomiánem krześlé, któ-
rego nogi i grzbiét z czeresznio-
wego są drzéwa, wyrábiaiących nay-
dokłádniéy wszystkie figury źwie-
rzęce. (a) Te lwy, niedźwiedzie,
wieprze, psy, wilki, kozy, zdaią się
bydź żywe; iednéy im tylko mowy
niedostaie. Jakże więc tokárz, któ-
ry tę robotę wydáł, niezasłużył na
imie artysty? cóż trzeba uczynić
więcey, áby sobie ziednać ten ty-
tuł?

Ach! ta myśl, by grzbiéty krzeseł
źwierzętámi dokładnie udanêmi u-
piękrząć, cieszy mnie i záchwyca!
Patrzay, iak młoda Lucyna umie
ie sproszonym na obiad gościom
roz-

(a) Czy tá moda dotąd trwa w
Paryżu? dokłádnie uwiadomieni nie
iesteśmy.

rozstâwiać. Krzesło z wieprzem, daie łakomému pásibrzuchowi, któ- rego dymék kuchenny zwâbił, krze- sło z wilkiem, podane wierzycielowi natrętnemu, krzesło z niedźwiedziem iest dla męża zazdrośnego, krzesło z psem dostał amant stały; gospo- dynia zaś domu słodka i dobra, wzię- ła krzesło z owieczką; każdy więc na swoiém usiadł mieyscu. W pe- wnym mágazynie meblów zdárzyło mi się widzieć niedâwno liczną kol- lekcyą krzeseł, na których tylko gę- sie, káczki, indyki, osły, i krety wyrabiane były. Artysta upewnił mnie, że te wszystkie zamówione były dla pewnego towârzystwa uczo- nych, Jakoż w samėy rzeczy postrze- głem; że krzesło Prezydenta było z pâwiem, a pierwszego Sekretarza z małpą.

My-

Myśli

Kto niewidział w nieszczęściu osoby kocháney; ten niewie ieszcze, iak mocno kochać może —

Lepiéy umiêm czuć, niżeli pisać, sztuka iest nierównie niższą od natury

Zle się to wyráża, co się názbyt czuie —

Wszystko w nas stárzeie, oprócz uczucia —

Trzeba bydź pierwéy sprawiedliwym, a potêm wspaniałym, iak iest potrzebniéyszą rzeczą koszulá niżeli wykwintne korónki.

Lepiéy iest zasypiać bez wieczerzy, niż przebudząć się z długámi.

O nie-

O niestałości wszystkiego (b)

Smutek, czy rádość, tak potrzeba dzielić;
By się zbyt czuciem ich człowiek niewładał.
„ Miérnie się smucić, miérnie się weselić,
Mądry Sokrates, uczniom swym powiadál.

Ja, doświadczenia własne, gdy przebiegâm,
Y obce tráfy w uwáge zaymuię;
Istotną práwdę słów iego postrzegâm;

(b) Te wierfze fą przyflane bezimiennie, dla umiefzczenia w tym Tygodniku.

Gdyż

Gdyż nic statecznie dla nás niepanuie.

Człowiek, wydány na świat, od natury,
Jest małą garstką lékkiego popiołu,
Z którym igraiąc wiatr, wznásza do góry,
Y znowu tenże ciśnie go do dołu.

Czy mię los przez swe łáskâwe przymierze,
Wznásza nad innych, czy gniecie z wściekłością;
Ani ia łáskom, ni gniewowi wierzę,
A sądzę wszystko to źmienną próżnością.

Niech mi dostátek, w dom ze wszech stron spływa,
Niechay mię pieszczą piękności Boginie;

Zá-

Záwsze się pámięć ta w sêrcu od-
zywa,
Że to iest próżność, która wkrótce
minie.

Niechay mnie wreście i ubóstwo ci-
śnie,
Niechay kochánka, i przyiaciel zwo-
dzi:
Ja mám nadzieię, że promyk zabły-
śnie,
Co troski moie rofkoszą osłodzi.

W obrazie bowiem tu życia násze-
go,
Tak pomieszane przygód ludzkich
cienie,
Że w iednéy kropce trafu znaczone-
go
Jest rázem roskosz, szczęście, i
zmártwienie.

Ane.

Anekdota

Moliere bâwił się raz z przyiaciołmi w swoim domku **Auteuil**, a że zwykł wcześnie sypiać, uprosiwszy P. **Chapelle** za gospodarza, opuścił przyiacioł, i sam się udał do wczasu. Ci przy dobrém winie bawili się aż do trzeciéy z ranâ, po różnych rozmowach przyszli nakoniec do materyi moralnych. „ Ach! „ iak życie nasze iest czczém, o„ zwał się **Chapelle**; na iléż wy„ stawieni iesteśmy przykrości! Lat „ trzydzieści i więcéy biedzić się „ trzeba dla iednego momentu „ roskoszy, ktôrego się nigdy nie„ doczékamy. w Młodości rodzice „ nabechtaią nam głowę niepotrze„ bnémi banelukámi; wiele dbam

ze

„ ze katy, czy się tám słońce kręci,
„ czy ziemia obráca? Czy ma ro-
„ zum głupi Kartezyusz, albo
„ niezrozumiały Arystoteles.
„ Napadłem szczęściem na nauczy-
„ ciela, który zbiiaiąc tych mędr-
„ ków, zachwálál systema Epikura.
„ No, ieszcze temu przebáczam,
„ gdyż on ieden tylko rozumnie bre-
„ dził. Zalédwośmy się pozbyli szkol-
„ nych pedagogów, natychmiást gło-
„ wę nam zawracaią, abyśmy sobie
„ stán obrali. Kobiety te iaszczur-
„ ki nie szczére, sprzysięgły się na
„ nászą spokoyność, słowem: same
„ umartwienia, bezpráwia, i nie-
„ szczęścia osiadaią człowieka w tém
„ życiu — „ Dobrze mówisz naydroż-
„ szy przyiacielu! odpowiedział J....
ściskáiąc go sérdecznie „ życie czło-
„ wieka iest naynędznieyszém udzia-
łem.

„ lem. Odbiérzmy go sobie, i abyś„my się, tak szczęśliwie dobrani „przyiaciele, nigdy nierozłączáli, „potopmy się w rzece. Zgodâ, od„powie N... niemogliśmy przyia„ciele wybráć lepszego czasu, i u„mrzeć z takiém ukątentowâniem, „iak teraz; śmierć bowiem nasza „będzie głośną„. Tak chwálébny zamiár wszyscy iednomyślnie potwiérdzili. Zrywáią się pjani i lecą ochoczo do wody. To postrzegłszy służący, dali znać Molierowi, który mocno się przeląkł, znaiąc, co wino z iego przyiaciółmi często dokázywało. Tym czasem zgodna kompania dobiegła do rzeki, a dopadłszy czółna, dla prędszego uskutecznienia zamysłu, puściła się na naywiększą głębinę. Służący wskoczyli czym prędzéy za nimi, i ledwo ich z wody

do-

dobyli; obruszeni tą pomocą porywaią się do szpady i gonią za niemi aż do Auteuil, biedni służący zátrwożeni, powiększéy części chronią się do Moliera pokoiu, ten usłyszáwszy ich hałás, rzecze do zapamiętáłych; „ Mości panowie! co „ WacPanóm ci hultaie zrobili? „ Jakże u sto katów, odpowie J.... który nayusilniéy obstáwał za tém, aby się rzucić w wodę? „ te gałgany „ przeszkodzili nam utopić się; słu- „ chay kochany Molierze, mász „ rozum, osądź czy niesłusznie po- „ stępuiem? Znużeni przykrościámi „ tego świata, postanowiliśmy prze- „ nieść się na tamten, i uznaliśmy „ że naypewniéyszą i naykrótszą „ drogą była opodal płynąca rzeka; „ a ci hultaie ważyli się nas zatrzy- „ mác w tak śláchetnym zapale; u-

„ waż-

„ ważże, czy mogło to im uyść bez„ karnie? — Nigdy, odpowie Mo„ liere,„ tym czasem udaiąc gniéwnego, zaczął krzyczéć na służących „Précz z tąd niecnoty, coście się ważyli tárgnąć na tak chwalebne chęci! „ Ale też i po was kocháni przyiaciele! nigdym się niespodziewał, „ abym tak małe mieysce trzymał „ w waszém sêrcu, czemużeście mnie „ do swoiéy kompanii niezaprosili. „ To pewna odpowiedział Chapel„ le, żeśmy go tém obrazili, więc „ niédługo myśląc, ruszay z námi „ w wodę — Hola! mości panowie, od„ powiedział Moliere, tak boha„ térski postępek, dóyść powinien „ nayodlegléyszéy potomności, ta ná„ sza czynność będąc iuż ostatnią, „ powinná się w całéy świétności „ okazáć, inaczéy noc pokryie na-

„ szą

„ szą odwagę, a obmowa podłe o nas „ rozsieie wieści; powiedzą żeśmy „ piani, albo waryaci, tego się do„ puścili kroku. Wstrzymáymy się „ z tym zamysłem aż do iutra, a „ dopiêro o dziewiątéy godzinie z „ rána, skoczymy po przyiacielsku „ wſzyscy pięciu w wodę — Dali„ bóg mądrze gádà! odpowie N . . . „ Mnie złości biorą, rzecze L . . . „ widząc, że M o l i e r e zawsze má „ więcéy od nas rozumu — Odłożmy „ więc rzecz do iutra, teraz idźmy „ spáć, rzecze M o l i e r e gdyż iuż „ zaledwo na nogach stoię. Przytomność umysłu M o l i e r a odwróciła widoczne nieszczęście, a na zaiutrz wstáwſzy w południe, śmieiąc się, przypomnieli sobie, że iuż minął czas obrany na dopełnienie ich wesołego zámysłu.

Tron

Tron i łóżko

B A Y K A.

Stoiący tron przy łożu, z swoich bogáctw hardy,
Tak mówił do fąsiada tonem pełnym wzgardy,
„ Ládá iakie wzrufzenie trwogę w tobie rodzi,
„ Twóy puch lada co zemnie, blásk ci słonca fzkodzi.
„ Waleczni tobą gárdzą, próżniacy hołd czynią,
„ Od wieków iefteś wfzędzie léniftwa świątynią —
Na to łoże fpokoyne, z flegmą mu odpowie, —
„ Nie wynoś się tak bárdzo, bo móy bracie! kto wie
„ Czy pierfzeńftwa tronowi łóżko ustępuie?
„ Tyś mną niéráz, ia w tedy nad tobą panuię —
„ Często łóżko piękności tronem ftáć się może,
„ A tron wfpaniáły Królów, zamienić się w łoże —

Prenumerować i doftać tego Tygodnika można u JP. Zawadzkiego w Xięgarni JP. Bietfcha.

N° 6.

TYGODNIK WILENSKI

Dnia 28. *Maia* 1804.

o Wytworności gustu.

Potwiérdzimy nowymi dowodami, wnioski, że w teraźnieyszym wieku nauki i sztuki bardziéy, niż kiedy kwitną, a gust coraz świetniéyszego poloru nabiéra. Niech amatorowie starożytności wynoszą piękne zabytki nad dziadów naszych; ia zawsze współczesnych dzieła nad dawne przekładam. Nie wspomnę

F o na-

o naszych pałacach i budowlach wspaniałych, na które tylko dość iest okiem rzucić, aby się przekonać, ile przewyższaią w piękności niezgrabne gotyckie gmachy; które tyle tylko maią zalety, że długo trwać będą; i późniéy zapéwne od naszych, niepotrzebnym swoim ogromem, żyiących w nich ludzi przywalą.

Ale przéydźmy się po modnych ogrodach, gdzie dawniéy między symetrycznémi ulicami, w regularnych kwatérach kartofle i kapusta rosły, wyrzuciliśmy te rolnicze płody, zostawiliśmy tylko, gdzie-niegdzie stare lipy, które nam iakieś uczucia młodości naszéy przypominać miały; pomiędzy nie, ciasna angielska promenada wiedzie przechodnia w kręty labirynt, tu go nowa ruina za-

trzy.

trzymuie, tâm iaskinia sztucznie udâna dziwi, tu górę skâlistą spostrzéga, zbliża się i nogą przestąpić może to kretowisko kàmieniàmi i darniém usłâne. Tu chatka nie zamieszkana stoi płączącemi osadzona wierzbâmi, a strumyczek między *kioski. klumby*, *i abeliski* tocząc mechanicznie nurt swôy, mrucząc wpâda do . . . . kuchni.

Czémże są dáwne posągi, w porównaniu cukrowych naszych osóbek, i kolorowânych karykatur? nagość lubiéźna, charakteryzuiąca ie niekaże żałować oziębłych rzymskiéy lub greckiey historyi obrázów. Ale w czém celuiemy, w czém przewyższámy starożytność? oto w modach i ubiorach. Elegant z ogròmnym czubém ma na głowie z własnych włosów ułożony szyszák rycérski, lubo

 iego

iego cieżaru nie czuic — Zarękáwki, te niepotrzebne sprzęty zarzucone zostáły; z większą wygodą elegant ręce przed zimnem ukrywa nosząc ie záwsze w kieszeniach przestronnych pantalonów. Celuiąca nad inne, i która co dzień do doskonałości po naszych stołecznych miástach przychodzi, iest sztuka chodzenia po błocie, bez zawalania bótów, lub trzewików. O gdybyśmy w tey mierze tak moralnie iak iuż fizycznie celowali —

Errata Nro 5go

Karta ostatnia wiersz czwarty zamiast — Twoy puch lada co zemnie — czytay Twoy puch lada co zgniecie.

STRUMIEŃ (a)

Między iawory ciemné,
Strumień się zléwał ze skáły,
Liliie i kwiáty przyiemné,
W brzegach się iego wáhały.

Gdzie tylko nurt swóy obróci,
Zadnéy przeszkody niema:
Ani go kámién zwróci,
Ani go táma zatrzyma.

Gdzie tylko kryształ potoczył,
Czekáły kwiâty u brzegu;
Tak; że w ponęcie nie zoczył,
Ze iuż dâleki w swym biegu.

(a) Te wiersze są przysłane bezimiennie, dla umieszczenia w tym Tygodniku —

Ráz

Râz Koryna zmordowána
W strumieniu szuká ochłody,
Jakáż radość niespodziana! . . . .
Zátrzymał strumień swe wody.

U nóg iéy płynął powoli,
Białe iéy muskâł ciało,
Pieścił się, z łonem dowoli;
Cóż po tém wszystkiém zostáło?.

Pamięć! ach côż po pamięci!
Jak czas roskoszy nietrwały!
Ustawnie strumień się męci,
Wnet iego spełzły kryształy.

Nadeszły burze iesienne,
Wicher nim gniewny pomiata;
Zeszły iak marzenia senne
Chwile wiosny, chwile lata. —

Przy-

Przyiemność, co wzrok mamiła,
Ta iego wesołość przeszła,
Znikła, tak iakby niebyła,
Gdy sroga zima nadeszła;

Sciął się w nieczułe lody;
Lecz ôn nie długo w tym stanie,
Znowu potoczy swe wody,
Niech tylko wiosna nastánie.

Lecz ty, co wiosny używász,
Płocha i niebaczna młodzi!
Co nadobné kwiáty zrywász
Póki ci te wiosna rodzi;

Miárkuy zapęd niewstrzymâny,
Niech go stály umysł skróci;
Bo iak minie czás wiośniány
Ten się więcéy niepowróci.

Poeta,

Poeta, Mozg, Pióro, i kałamarz.

ALLEGORYA.

Pewien Poeta otrzymâwszy poklâsk za napisané dzieło, siedząc râz u ſwego stolika cieszył się niezmiernie. Miłość chwały wszystkim ludziom właściwa, wzniecała w iego sercu iakiś skryty zâpał; krew w nim wrzała słysząc pochwały iakiemi go obsypywano; radość go całego zaięła — Mózg mu zazdroszcząc téy wesołości, rzecze: „ tyś mnie wiele wdzięczności winien, iam te podał myśli, które ci tâki ziednały zâszczyt, bezemnie słowabyś nie nâpisał „ Pióro to słysząc, pełné nieukontentowania

rze-

rzekło do Mózgu „ skądże ta pycha? cóżbyś ty nędzny z twémi piękné-mi myślámi, z twą żywą imaginacyią zrobił bezemnie? Autor wdzięcznym bydź powinien mnie, com ie wylało na papiér „ Natenczas kałamarz rze-cze z przekąsem „ Jakże cię dáleko miłość własna zaślepi, wszák gdy-bym cię nienapoił atramentem nie zdołáłobyś słowa iednego napisać — Poeta zagłuszony krzykámi którymi oni usiłowali wydrzéć mu nabytą sławę, rzecze: równie wám wszyst-kim iestem obowiązány; tobie, mo-zgu, żeś ożywił moią imaginacyą, i dostárczył potrzebnych materyałów, tobie, kochane pióro, żeś ie pisało, tobie nakoniec grzeczny kálámarzu, któryś nieskąpił sposobów, by to dzieł-ko, mogło pod sąd łáskawego póyść czytelniká — Tém podchlebném po-dzię-

dziękowániém Poeta zwaśnionych pogodził.

Wkrótce potém Poeta wydał nowe dziełko, które iak noc od dnia rożniło się od piérwszego.

Wszyscy natychmiast powstali przeciw Autorowi, tysiąc nań uszczypliwych napisano paszkwilów, nayniezznośniéysze czyniono mu zniewâgi, słowem: we wszystkich tak prywatnych, iak publicznych posiedzeniach, biédny nász Autor stał się całem pośmiewiskâ i nayzelżywszych urągań. Natenczas Poeta wymáwiał swemu mózgowi, za co mu takie dyktował baneluki, gniéwâł się na pióro i kałámarz, poco ie na świát wydały, lecz się żadno z nich niechciáło przyznać do tego dziéłka. Mózg obru-

obruszony rzekł „czemuż nierozsądny między tłumem myśli, którém ci przedstáwiał, nieumiałeś uczynić wyboru? kálamarz i pióro wymâwiały mu, iż był złym Poetą, że one nic swego nie dodáły, i że tylko ślepymi były wykonywáczami iego woli. Côż miał robić nieszczęśny? musiáł milczeć, i złorzecząc miłości włásnéy opłákiwać swoią niedolę.

Tak się to powszechnie dzieie, ieśli się komu powiedzie, wszyscy mu natychmiast wmawiaią, iż się do iego przyłożyli szczęścia; lecz gdy się przypádkiem noga powinie, káżdy nas opuszcza, oświadcza całemu świátu, że się do naszego nieszczęścia bynáymniéy nieprzyczynił, i całą winę zwâlâ nas nasámych.

Myśli Chamforta.

Społeczność składa się z dwóch wielkich klás ludzi, z tych, którzy więcéy máią obiadów, niź apetytu; i z tych którzy máią więcéy apetytu, niż obiadów.

Trzy są rodzaie przyiaciół, mawiáł M . . . przyiaciele, którzy cię kochaią, przyiaciele, którzy niedbaią o ciebie, i przyiaciele, którzy ciebie nienawidzą.

Głupiec, ieśli co czâsem powie dowcipnego równie nas zadziwia, iak konie fiakra biegące czwàłem,

Jeśliby kto chciâł pozyskáć łaskę Ministra; niech mu się ráczéy w smutnéy okázuie postawie, a niżeli w wesołéy;

Gdyż

Gdyż pospolicie nie chcemy widzieć ludzi szczęśliwszych od nás.

Sławę literatów, a szczegulniéy dramatycznych pisárzy, przyrównáć można do máiątków, których dawniéy nabywano w Indyach, i Wyspach odkrytych. Dość było tám wprzódy przeiechać się, aby wielkie zebráć bogáctwa: ale z czásem te same zébrane skárby zawiodły przyszłe pokolenia, schudzona rolá, niebyła w stanie obfitego wydać plonu.

Podług mnie, mądrość bez nieufności, iest niewyrozumiáłą. Pismo Swięte mówi, że początek mądrości iest boiaźń Boska; możnaby dodáć do tego i boiaźń ludzi.

ANEKDOTY.

Pewien przez lât trzydzieści chodził do Pani B . . . w têm żonâ mu umârła: wszyscy sądzili, że się z Panią B . . . ożeni wielu mu podawało tenże proiekt. Lecz ôn, niemiałbym gdzie, odpowiedział, spędzać moich wieczorów.

Pewnego hulâkę nocą idącego patrol napotkał, i wziąwszy go za złodzieia, pytał; czyby broni przy sobie nie miał? „Mości panowie! ten im odpowie „ieżeli broni szukacie? wykupcie môy pałâſz, któregom iâ dopiero w poblizkim szynku zastawił;

Pewien Fanfaron przyszedłſzy na teatr przemokły od deſzczu, założę

się

się rzekł, że mi moi ludzie płaszcza dádź zapomnieli.

Niedáwno ożeniony człowiek, skârżył się w pewném posiedzeniu, że był tak nieszczęśliwy, iż niemógł, iak inni mężowie, co rok obchodzić rodzin swoiey żony. Jeden z przytomnych, zapytâł się go o przyczynę, oto odpowiedział mu; bo dzień rodzin moiéy żony co cztery lâta przypâda. Cała kompania roześmiała się na to, i małżonka tego wzięto za waryata. Przecież zupełnie ten do rzeczy gadál, i nieklamâł bynaymniêy.

Wnastępuiącym numerze rozwiążemy to zadanie.

Wilk, Owca, i ciernie.

B A Y K A.

Raz wilk zgłodniały iął za owcą gonić,
Ta chcąc się schronić,
Trwożna nieźmiernie,
Rzuca się w ciernie.

Wilk niespostrzegłszy, iak w padła w manowce,
Opuścił zdobycz. Tak cierń zbâwił owcę,
Lecz za to skórę, aż do krwi po-orał —
Każdy w têy baycę łatwo znaydzie morał.

Prenumerować i dostać tego Tygodnika można u JP. Zawadzkiego w Xięgarni JP. Bietscha. Cena każdego Nru groszy 20.

N° 7.

TYGODNIK WILENSKI

Dnia 4. Czerwca 1804.

Egoizm.

Pierwsza miłość od siebie. Zdânie to sprawiedliwie uważâne iest rozumnêm; ale egoista na złe go używa, chcąc przez to usprawiedliwić swoie postępki i tę oboiętność z iaką spogląda, na to wszystko, co tylko nie iest nim sâmym. Miłość Egoisty zâczyna, i kończy się na miłości samego siebie — On bowiem

naypiérwiéy myśli o sobie; co prawdziwie iest rzeczą náturalną; ale, że zapomniáwszy o wszystkich, iedynie sobą iest zaięty, to się zupełnie przeciwi téy miłości, która społeczność ludzką nieprzerwánym ogniwem łączyć powinna.

W stołécznych miastách, gdzie trzy części mieszkáńców, są względem siebie obcêmi, pilny bádácz nayłátwiêy egoizmu dostrzéże — Tám wszystkie słowa, wszystkie czynności, wszystkie zamiàry i myśli, noszą na sobie tę powszechną céchę — Pátrz na ten tłok pospólstwa, który się hurmem we dni święte ciśnie na miéyscâ publiczne, tám się tłuką, biią, káléczą za to iedynie ukontentowanie, aby przeyść pierwéy i bliższe zâiąć miéysce; nie ieden słábszy przyduszony wzywâ o pomoc; lecz egoizm głuchym iest

iest na krzyk nieszczęśliwego; wchodzą wszyscy, ale każdy zaięty widokiem zabawnym niechce poświęcić ani iedney chwili, dla przywrócenia życia nieszczęśliwemu.

Co za hałas po ciasnych zaułkach! nacisk przechodniów razem się rozpierzcha, poiazdy gonią się na wyścigi, tętet kół ostrzéga o niebespieczeństwie, iakim one grożą; szczęśliwy, kto się od niego uchronił ze szkodą obok idącego — Strzeż się trefnisia, który za tobą idzie, bo chociażby ciebie całego obryzgać miano, chociażby cię konie i poiazd roztratowały, narazi cię na to byle tylko białych pończoch i modnych pantalonów niepowalał — Póydź no tylko na teatr, a tam obaczysz, iak wiele w stolicy egoizm ma hołdowników, każdy chciałby iak nayprędzéy do-

stać biletów, każdy tám przeyść usiłuie, gdzie się pospólstwo kupi — Zasłona się podnosi; w tém modna elegantka chcąc wszystkich w śród nayinteressowniéyszéy sceny oczy obrócić na siebie, wchodzi z wielkim hałasem do loży, piesek iéy zaczyna szczekać, każdy na nią swoię lorynetkę wymiérza, wszyscy zapomnieli o sztuce, ona iedna przedmiotém rozmowy, i pochwał całego parteru, ona iedna iest szczęśliwą — Wychodzą po skończonéy sztuce, tłum się zbiéra, wszędzie przéyścia pozagradzané, z dziesiątek furmanów ziechawszy się klnąc biią się nawzaiem, káżdy na ten egoizm krzyczy, i nieuwáżâ, że w podobnym przypádku równie by postąpił, i że między furmanami, literatami i panami egoizm iest sprężyną wszystkich czynności, i duszą naymniéy ważnych zatrudnień.

Ko-

Kochanek do Księżyca.

Księżycu! który iáśnieiesz na niebie
Y nocne łagodzisz cienie,
Powiedź mi szczérze, czému dziś u ciebie.
Tak żywe twârzy promienie?

Mnie powiâdano tego, co kochà,
Cechą iest bládość na licu,
Ale mnie równie podéyrzaná trochâ,
Twoia rumianość, Księżycu.

Lecz nie . . . Ty z gôry świàt i ludzi widzisz,
Gniéwá cóś, wstydzi cós ciebie;
A choć się gniéwász, a choć się i wstydzisz,
Naypiękniéy świécisz na niebie.

Tâk, gdy się moia Laura wstydem płonie,
Uię-

Uięci iéy powabámi,
Mówim, że ona têm w pastérek gronie,
Czém księżyc między gwiázdámi —

Ah cóż to! náglé zakryła go chmura,
Wiatr zawiał z pułnocnéy strony,
Szelest okropny, i ciemność ponura,
Ach! péwnie, ach!... Ja zdrádzony!

Ach ia zdrádzony! Tyś Lauro zdrádliwa,
Kto inny... cóż to! gdzieś zdála,
Jes cze i smutny puszczyk się odzywâ
Na szczęście mego rywala.

Skryy się księżycu! Skryy się iuż na záwsze!
Promień twéy twârzy mówią, że znáczy
Słodką nadzieią, i nieba łâskáwsze,

A ia chcę umrzéć w rozpàczy.

Y ty się słońce! nie pokáż z sromo-
ty,
Mszcząc się zdrádzonéy miłości,
Nie świéć dla ziemi, niéma na niéy
cnoty,
Niech zbrodnie kryią ciémności!

Ah! cóż to chmura znowu w bok ucho-
dzi,
Jak mile zorza wéyrzáła,
Czyż mi się o niéy tak źlé sądzić
godzi?
Swiéć słońce! Laura iest stáła,

R Z....

E P I G R A M M A.

Nâpominâiąc Pleban, źle żyiącą wdo-
wę
Do nieboszczyká męża zwrócił swo-
ią mowę,

Y

Y rzekł „ po iego cnotách spodzié-
wać się trzéba,
„ Że prosto z tego świáta, pôyść
musiał do nieba;
„ A ty żono! gdzie pôydziészʔ „ Ta
mu na to, rzekła;
„ Kiedy mąż w niebie, to ia wolę
iść do piekła.

R Z . . . .

Pochwała Błota.

Czy widzisz te kary, w których co sobotę wywożą błoto z naszych miast stołecznych. Odwracász oczy na ten widok, elegantkâ dobywa co tchu wódki pachnącéy, a fircyk chustką batystową nos zatyká — Porzućcie te grymasy panowie modnisie! To plugáwe błocko zawiéra w sobie soki rodzące, które wzrôst i plenność dâ-

dzą

dzą téy sałácie głowiastéy, tym kalafiorôm tak smácznym, tym melonôm chłodzącym, słowem, tym wszystkim iarzynôm, które tak dobrze przyprawiane ziadacie. Temu błotu winniśmy iedną z nayroskoszniéyszych uciéch. Co więcéy śmiêm twiérdzić, że niech Paryż, Londyn, lub inne, wielkie miasta, przez sześć tylko miesięcy błota i kału nie dostárczaią, a upêwniâm, że się głód da uczuć támtéyszym mieszkáńcôm. Ale zarzuci mi elegantka, niższego stanu, że błoto walá, niweczy naygustowniéysze iey ubiory, i podwaia koszta na opranie się. Prâwda, ale iêy w têm wina, że idąc pieszą występuie w stroiu który tylko iadącym wpoiazdach przystoi. Bábki násze piechotą także chodziły; ale ich krôtkie spodnice, ich trzewiki na wysokich korkâch,

chro-

chroniły ich od zwalánia się. Prócz tego; i wy dámy modne! nie powinniście się tak bárdzo na błoto uskárżać; nie raz chcąc go ominąć, lub przestąpić, nóżkę pełną wdzięków pokázać musicie, a to pokazanie, czy raz .... niekończę. Dámy modne! ieżeli za niewdzięczne uyść nie chcecie; nie gniéwáycie się na błoto.

Myśli

„ O Boże! máwiał péwny Filozof „ nie prosze cię, abyś złego dobrym zrobił, postâw go tylko w tym stanie, aby za dobrego uchodzić nie mógł!

Dość ciekâwém dziełem byłoby dla

my-

myślącego Filozofa, zebranie wszystkich słów, i wiérszy, które od lat ɟıstu przemazáne były w różnych księgach od censorów cywilnych, albo duchownych. To dzieło, gdyby go człowiek z gustem ułożył, dat nie opuszczaiąc; byłoby sprâwiedliwą miárą oświecenia publiczności, a przynaymniéy przełożonych.

Nayrozumniéysza ze wszystkich odpowiedzi na małżeństwo, albo bezżenność, iest moiém zdániém ta; iaki chcesz z tych dwóch stânów wybiéráy, zawsze żałować będziesz.

Gdy nic od swéy Zulimy Mirtyl nie otrzymá,
Choć smutny, mâ nadzieię, że kiedyś dostánie,
Lecz;

Łecz kiedy mu iuż wszystko oddaie Zulima,
Jest szczęśliwy; ale cóż z nadzieią się stánie?

Anekdoty.

Pewnego dnia, przyiechâły dwie ładne kobiéty, w modnéy kârycie, do pewnego kupca; iedna z nich wysiadła, i poszła do sklépu, druga została się w kárycie; ich kuczer stánął w poprzek ulicy, dway przechodzący męszczyzni, widząc drogę zágrodzoną, wołali na kuczera, aby się umknął, ten zaś zuchwáły nic im na to nie odpowiadał. Jeden z nich widząc go tak dâlêko upártym zaczął łaiać. Co słysząc dama targuiąca towary wyszła ze sklepu, i naysurowiéy

wiéy roskázała kuczerowi, aby się z drogi nieustępował. Kâwaler nic na to nie mówiąc odmyka z naywiększą flegmą drzwiczki od karety, wita się z damą tam będącą, i drugiémi drzwiczkâmi wychodzi; kolega iego przeszedł podobnie nie ubliżaiąc bynaymniey winnego damie szácunku, nareszcie; pospólstwo upodobáwszy sobie ten koncept zaczęło się cisnąć hurmem do káréty tak, że dama chcąc zakończyć tę nieprzyiemną processyą ze wstydém musiała wsieść do karéty zwalâney błotem.

Pátrzay! mówiono raz P.M... iak Jris má minę fałszywą. Tyle téż w sobie má rzetelnego odpowie Pan M . . .

Stâra pewna kokietka wpâdłszy w nie-

niebespieczną chorobę, posłała po spowiednika, ten iéy radził zapomnieć o życiu, a myś ić o miłości Boga. „Niestety! odpowiedziała, w takich latach czy też można myslec o nowéy miłości.

Struś

BAYKA

Lecę... lecę... ustąpcie się...!
Zawołał struś ociężały:
A ptáki chciwie patrzâły,
Jak się ón w górę podniesie;
„O miéysce tylko wâs proszę,
„Uyrzycie, rzekł, me zâszczyty,
„Otrę o niebios błękity
„Pióra moie... iuż się wznoszę...
„Daléy!... pátrzcie na sklép nieba !

Tu

Tu pióra swoie rozpiérza,
Których drugie tyle trzeba,
By tám doszedł, gdzie zámiérza.
Próżne práce, i záchody,
Nic nie było z cáłey drogi;
W piásku mu ugrzęzły nogi,
Y tám został, gdzie był w przódy.
Ten przypádek nie nowina,
Między Jchmość uczonémi;
Wieleż Synôw Apollina,
Krzycząc, „Lecę„ są ná ziémi.

Zagadka.

Spełnię wszystkie twoie żądania, mówiła młoda panienka swemu amantowi, byleś mi tylko dał to, czego sam niémasz i czego nigdy mieć nie-

nie możesz, lecz co mi dać iest w twoiey mocy.

Czegoż chciała? *odpowiemy na to w następuiącym numerze.*

Rozwiązanie zagadki, w ostatnim numerze umieszczoney iest następuiące. Żona iego urodziła się dnia 29. Lutego.

Prenumerować, i dostać tego Tygodnika można u JPana Zawadzkiego w Księgarni JPana Bietscha. Cena każdego Nru groszy 10.

N° 8.

TYGODNIK WILENSKI

Dnia 11. *Czerwca* 1804.

Moc wymowy sérca.

Mąż, który czyni honor nauce swą cnotą, i piękné zdania chwalebnym przykładem potwiérdza, postrzegłszy w ogrodzie smutnego młodzieńca, uważa cięzkie iego wzdychania — zdięty więc litością sérca, źbliża się do nieznaiomego, „ daruiesz mi Waę

Pan, rzecze, że się ośmiélám prze-
rywać iego myśli: ale mi się WPan
zdaiesz zanurzony w głębokim smut-
ku. Jestem człowiekiem... mám czu-
łość, ieżlibym mógł WPanu dopo-
módz.. Ach! panie, znám ia WPana,
widziałem go nieráz, wiém, iak sły-
niész nie tylko pismámi, lecz i oby-
czaiami swoiemi; ia iestem nieszczę-
śliwy bez nadziei. W tém począł rze-
wliwie płakác - Miéy WPan stałość nie
będziesz bez nadziei — Gdybym był
tak szczęśliwym, żebym pozyskał iego
zaufanie, prosiłbym WPana, żebyś
się zwierzył swego zmártwienia. O-
śmielony młodzian, opowiada swoie
nieszczęście, którego był sám sobie
przyczyną, dodaiąc, że iuż rospácz
górę nad nim wzięła, że niedba o ży-
cie, które nie iest darem dla niego —
Mászże bydź tak podłym przyiacielu!
aż

aż do takiego stopnia! Niema przed bogiem, ani przed ludzmi nic takowego, czegoby żal nie zagładził — Nie zatarłem ia w sobie ieszcze, odpowie młody, edukacyi, alem się złym przykładem dał wciągnąć w niezliczoné błędy i nieprzebaczoné przestępstwa; muszę to wyznać, stráciłem wszystko, nie mám przyiaciela — Niemasz WPan przyiaciół — a czyliż ich może mieć nieszczęśliwy? — A krewnych? na te słowa żałośnie westchnął ów młody, potém się zdobył na odpowiedź — mám, co mię opuścili, iak WPan widzisz. — Ach co za nieludzkość. A rodzice? — ieszcze byłem w kolébce, kiedym utracił rodziców moich, Ach! zapewneby, ani móy oyciec, ani mátká niebyła tak oboiętna, iak iest móy brat, (ieśli go tylko mogę zwać bratem) prawda, że moie

złe sprawy musiały iego czułość zatłumić — Alboż to się czułość zatłumia? — Widzisz WPan, że iego czułość miała granice, ale nie mogę zaprzeć, zasłużyłem na to co znoszę i znowu płakał — Nie szukałżeś WPan sposobów, żeby go zmiękczyć? — Używałem natury, ludzkości, i czułego serca — Y cóż? Niedał się przebłagać — wypchnął mię od siebie, i z domu, bez nadziei powrótu. — Mażón maiątek? — i znaczny, oprócz tego ma wziętość z dobrych swoich uczynków, czyni iałmużny. — A brata opuszcza? Proszę WPana do mego domu, ofiaruię mu wszelką przysługę i pomoc. Tâm, oprócz innych dowodów ludzkości swoiéy, oświadcza mu swoię chęć, że w iego interesie chce się widzieć z niemiłosiernym na niego bratem. — Ach! niemysl WPan o tem, odézwie się mło-

młody, byłby to ostatni cios dla mnie, gdybyś WPan tak łaskáwy môy Dobroczynca, miał się podawać na zniewágę dla siebie.. Łaská WPana dla mnie, byłaby wcale nie dobrze od mego brata przyięta. Już na to nie mogę pozwolić — Niebóy się przyiacielu! nic mię nie źnieważy, owszem mię môy zamysł bardziêy ku temu pociągá. WPan mówisz, że iego brat iest pobożny, niepodobna żeby był tak twardego sêrca, iąk sobie go WPan wystawiasz, może WPan popełnił... uchybienie iakie w proszeniu ? . . . znám ia naszę Religią, ona iest gruntem dobroci i łaskawości. Mimo wszystkie młodego uwagi, i zastanawiania, udáł się na zaiutrz zacny mąż do brata nieszczęśliwego młodzieńca, Wszedł do domu, w którym się duch pobożności wydáwał, wprowadzony po-

potém do pokoiu, gdzie się gospodárz klęcząc modlił. Powstaie on natychmiast, pytaiąc nieznaiomego o przyczynę téy bytności. — Zebym WPanu oddał ten hołd, który się należy cnotliwemu mężowi. Mimo wystawę pokory, nie źlé to przyiął nabożny człowiek, a usiádłszy wraz z gościem, to od niego usłyszy. — WPana sławâ przywiodła mię do tego, żebym go poznáł, a chociáż niemàm szczęścia bydź mu znaiomym, iednákże wiém, że WPan lubisz dobrze czynić, dla tego . . tamten przerywa — bárdzo WacPana przepraszam, niepotrzebniebyś mi resztę wyszczególniał, mám ia swoich ubogich, muszę wiedzieć o ich potrzebach, i wcale teraz nie iestem w sposobności . . — Poratowania nieszczęśliwego, który z głodu umiéra, to bydź nie może, żebyś się WPan tak

tak słodkiego ukontentowania pozbawił — A czyż można wszystkich ratować — Ale ten, któregobym chciał litości WPana polecić, ma práwo do sérca iego . . — Wszyscy iesteśmy dziécmi iednego Oyca! — Tak iest Mci Dobr: ale są mocniéysze związki, naprzykład krwi — Ja niemám za kréwnych, tylko ludzi dobrych obyczaiów, których życie nie nagánne, którzy pełnią swoię powinność — Ale naypiérwsza iest powinność darować urázę i podać rękę nieszczęśliwemu, lubo się przez winę swoią obłąkáł, wszak ci to WPana kréw; brat Wác Pana wzywá przezemnie litości iego. Tu z podziwieniem i zapalczywością odzywa się obrażony — Co, móy brat? a czy WPan znâsz tego człowieka, żebyś się za nim wstawiał? przyznam się WPanu, że iego krok . . — Ten

krok

krok bardzo przepraszam, iest podług prawideł sprawiedliwości i ludzkości, które są wyższe nad wszystkie względy. Widziałem w nędzy brata WPana, czegoż więcey potrzeba, żebym się nad nim zlitował, żebym tu nie miał przyiść prosić WPana za nim, i wystawić mu łzy bratérskie i głos natury— Pozwólże mi WPan, niech mu się wytłumaczę, rzekł obrażony, a tak rozumiém, że ten niecnota, który WPana przysłał, nie wart iest tego, ażebyś WPan czas swóy dla niego trawił. Tu wyraził wszystko, cokolwiek czuć może zranione sérce, wyszczególnił wszystkie winy nieszczęsnego brata, (które w rzeczy sámey były nieznośne) ale utaił ieden postępek nie można wiedzieć iaki, przez który iednák obrażonemu przeszkodził tamten brat do pewnego urzędu, równie

wnie chwalebnego, iak zyskównego. Gość wszystkiego spokoynie słuchał, iako niemaiący mieć trudności w odpowiedzi, spytał się nakonicc — czy WPan wszystko iuż wymówiłeś? niemâź iuż innego żalu? — Ach Mci Panie czy mało i tego, mnie się zdaie, że móy żal, chyba się równo z życiem zakończy. — Niewątpię bynaymniéy, odpowiada gość o słuszności żalu Wac Pana. Masz WPan sprawiedliwé przyczyny. Występki brata WPana są wielkie — Tak zbrodzień iest, — ieszcze ia WPanu przydám i naygorszy ze wszystkich zbrodniów, czyliżem nie dosyć iuż przydał?.. Ale, gdyby nawet był i zabóycą, gdyby ręce swoie we krwi był zmaczał, gdyby zapomniâwszy związków natury i ludzkości, targnął się na życie WPana, i mordérski sztylet w sércu brâterskiém

chciał

chciał topić (tu poważnie z mieysca powstáwszy) mogłożby to bydź spráwiedliwą przyczyną dla chrześcianina, dla człowieka odmówić bratu kawałek chlęba? tego, któremu iednaż krew życie dała, wypędzić z domu bez odzienia, właśnie iak nagiego na sromotę i rozpácz? WPan żyiesz w obfitości wszystkiego, a iego brat z głodu umiéra! Jak WPan bez niespokoyności możesz u stołu smakowi swemu dogodzić, iak się mâsz do odpoczynku zabiérać, kiedy rodzony brat iego napawá się łzami i w nędzy usycha? próżno wzywaiąc miłosierdzia bratérskiego; możeszże WacPan bydź tak nieczułym, żebyś nie zważał na głos natury i Religii? Gdy tym czasem nieszczęsny WPana brat przerywaiąc milczenie swoie odzywa się nieraz „ Ach bracie móy, przypomniy

mniy sobie żeśmy iednegoż oyca i iednéyże mátki dziéci, żeśmy iednémże mlékiém kármieni, i razem się w młodości chowali! czyliż mi odmówisz téy ludzkości, którą się człowiek i dla biednego źwiérzęcia wzrusza? Jużeś mię opuścił, a iam się został bez przyiaciela, bez schronienia się, bez żadnéy nadziei! Jestem obcy dla wszystkich! wyrzutek społeczności! Ach bracie móy! ty tylko ieden na świecie, którego litości wzywać mogę, a nieotrzymuię, ach po milion razy ścielę się pod nogi twoie.. dáruy, dáruy błędnemu.. „Co WPan mówisz, czy się mász sprzeciwiać naturalnemu prawu i przykázom wiary, którą wyznaiesz? Natura, Religia wstáwia się za nim do WPana, a raczéy nakazuie mu przezemnie, żebyś się nie sprzeciwiałpowinności człowieka, własnéy swéy powinno-

ności dopomagania nieszczęśliwemu i nędznemu, a takim iest rodzony brat iego. – A gdzież on iest! z żalem i płaczem przerywa, gdzie on iest, wszystko mu daruię, niechay go tylko obaczę i przeprofzę go za moie obéyście się z nim. Nastąpiło wkrótce poiednanie zupełne i trwałe.

X. F. N. Golański Prof: Uni: Wil:

Laur i Cyprys. (a)

Na grobowcu okrytym łzámi, krwią, żelàzem,
Laur i Cyprys żałobny krzewiły się rázem,
Cyprys mierzył obłoki gáłęziami swémi,

(a) Te wiersze są przysłane bezimiennie dla umieszczénia w tym Tygodniku.

La-

Laur się ledwo z mozołem podnosił od ziemi;
Y kiedy przed kolegą badáł się przyczyny;
Rzekł mu Cyprys wyniosły, sámeś temu winny!
Złąś sobie obrał ziemię, nie tu twe siedlisko,
Tu się dnie w nocy mienią, słońce chodzi nisko,
Lecz cóż ztąd, gdybyś wzrastáł, iak i ia wysoko?
Któż z ludzi tego kraiu zwróci na cię oko,
Czyież będziész uwieńczał kâlêctwa i blizny,
Za kogoż tám się biia, gdzie niemàsz oyczyzny?
Przenieś się w te krainy, w te zagrody świáta,
Gdzie człek żyiąc swobodnie poznáł w drugim bráta,

Gdzie

Gdzie ludzkość, męstwo, cnota, obro-
na, swobody,
Będą w twoich gałęziach odbiérać
nadgrody,
Idź! ia ten grób okryię gałęzi mych
cieniem,
By łzy ronił przechodzień nieszczę-
ścia wspomnieniem.

Smierć i kupidyn,

naśladowanie z angielskiego.

Rozkázał Jowisz śmiérci i kupidynowi podróż około świata odbydź, i dał káżdemu inny saydak z pękiem strzał osobnym dla obóyga. Król Bogów zalecił przytém, aby strzały miłośne młodych raniły, a strzały śmiérci starość ciężarem dla świata będącą z ziemi zmiátały. Ruszyła więc śmiérć

z kupidynem w drogę, ale pewnego dnia, znużeni podróżą, w chłodnym gaiu odpocząć przedsięwzieli, strzały swe w iedno mieysce złożywszy. W tém, gwałtownym szelestem przebudzeni rzucili się porywczo do broni, i przez nieuwagę strzały swoie zamienili między sobą.

Od tąd więc (iak powiadaią,)
Gdy ta nastała zamiana,
Zgrzybiałą starość sięgaią,
Strzały z kupida kołczana;
A śmiérć, gdzie tylko ugodzi,
Wiek przecina dziarskiéy młodzi.

Poznał się dobrze Jowisz na omyłce, lecz niechciał natychmiâst zaradzić, wiedząc dobrze; że i ta korzyść nie iaką ludziom przynieść może.

Bo

Bo odtąd się młodość boi
Srogiego śmierci postrzału,
A gdy, ponętą dziewczy,
Starość czasem dozna szału,
Wielbiąc pocisk kupidyna,
Młódszy wiek sobie wspomina.

Zagadka.

Rażę wzrok tego, co na mnie spogląda,
Kto mnie zrobioną mieć żąda,
A zrobioną przytem kładko,
Musi mnie cisnąć koniecznie;
Lecz mnie nie cisniy zbytecznie,
Bo się stanę włąsną matką.

Odpowiedź na zagadkę Numeru poprzedzaiącego: — Chciała Męża.

N° 9.

TYGODNIK WILENSKI

Dnia 18. Czerwca 1804.

Głupstwa i zdróżności.

Słyszę nieraz mowiących ludzi ktorzy mniemaią się bydź w rozum i doświadczenie bogaci, że wszystko co inni robią iest głupstwem lub zdróżnością. Czas swôy tracić, mówi Epikureyczyk, rozumuiąc nad mądrością lub nad korzyściami z nauk wypływaiącemi iest głupstwem..

I Wiek

Wiek swóy strawić, mówi mędrzeć, w bezgraniczney karyerze uciech i zabaw, nie myśląc o iutrze iest głupstwem. Rozdąwać skarby mówi skąpiec, które tak miło bawią oko nasze, choćby na dobroczynne uczynki, iest głupstwem. Zbierać odpowiada rozrzutny, aby za te zbiory nieużywać rozkoszy, zbierać, aby się naszemi zbiorami wnuki bogacili i znas się nasmiewali, nakoniec zbierać, aby czuwać w niespokoyności i boiaźni, i widzieć troski pomnożone wstosunku maiątku iest głupswem. Płacić długi mówi kawaler z przemysłu żyiący, kierować sumiennie interessa, lękać się nieszczęścia dudków którzy się nam powierzaią, słowa dotrzymywać, wszystko to iest głupstwem. Skłaniać się na proźby dłużnika mówi nieczuły wierzyciel,

ciel, losem się iego zmiękczać i przez litość tracić część swoiéy summy, aby go wyrwać z nieszczęsnéy toni, w którą go niespodziane pogrążyły przypadki, iest głupstwem. Nudzić się wzdychaniem w przeciągu wieczno-trwałey miłości, upewniać kobietę, że się ią kocha, wierzyć iéy cnocie, przypuszczáć sobie do głowy że stałą w miłośli będzie, wielkiém to zaiste mówi rozpustnik jest głupstwem. Zenić się mówi bezżenny, wprzęgać się w niepotrzebne więzy, áby potem przez szpary patrzeć na to, z czegoby się człowiek smiał do rozpuku, gdyby się nie jemu samemu przytrafiło, żenić się, aby pomnożyć jedynie liczbę dudków, i cierpiących męczenikow jest głupstwem. Wierzyć bezstronności żurnalisty, dobréy wierze patrona, nieprzedayności sę-

 dzie-

dziego, obietnicy i protekcyi magnata, czułości kokietki, iest głupstwem, głupstwem, głupstwem. mawiał pewien człowiek który był do tyla głupim że sarkał i uskarżał się na głupstwo i zdróżności ludzi ———

Fiołek

SIELANKA

z francuzkiego.

Przyiemnéy wiosny pieszczony dłonią,
Kochânku! zdobiący gaie!
Ty me czaruiesz zmysły swą wonią,
Y stronisz, gdy ci hołd dáię.

Jak dobroczyńca ozdobion cnoty,
Co nieszczęśliwych zwykł wśpiérać,
Ty,

Ty mnie swoiémi darząc szczodroty,
Niechcesz wdzięczności odbiérać.

Łudzącą pychą nieokázały,
Tyś żyć w ustroniu przywyknął,
Oko za tobą źwiedza gáy cały,
Gdy iuż węch ciebie przeniknął.

Często ci dziká nogâ przechodnia,
Byt bezbronnemu wydziéra;
Tak pod zabóyczêm zelazem zbrodnia,
Nie ráz niewinność umiêra.

Czemuż przed okiem ludzkiém się chowâ
Twa bárwâ skromna, i miła?
Lękász się, by cię kwiâtów królowa,
Swietnością swą nie zgásiła.

Nie

Nie bóy się, obok Wenery sáméy
Gracyie máią swe wdzięki,
Wszák, choć blásk Feba pięknym bydź známy;
Miły nâm promyk iutrzeńki.

Swietny hołd róży ślniącéy szkárłatem,
Niesądź, że kiedy otrzymász,
Nie iesteś w prawdzie kochánków kwiâtem
Lecz téż za to kolców niémâsz.

Dzielić przynaymniéy chciéy z siostrą twoią
Tryumf i nászą pochwałę,
Miłość ią wzięła za cechę swoią,
Ty przyiaźń oznaczay stałę.

Nie-

Niewartá ciebie gąszcz zaniédbána,
Przenieś się w násze ogrody,
Ja ci przyrzékám kázdego rana,
Czystéy zródlanéy dáć wody.

Ale co mówię! nie, w téy pustyni,
Zostań fiołku kochany!
Szczęśliwy, wszystkim kto dobrze czyni,
Y iak Ty żyie nieznány.

Myśli.

Natura stworzyła dla człeka roskosze, które on łatwo znaleść i spokoynie używać może, imaginacya zaś wskazuie mu mamiące i często niepewne. Natura zdolnieysza iest nierównie sprawić roskosz ludziom, niżeli sami ludzie. Czemuż się oni w

téy

têy mierze do niey nieudaią? lecz cokolwiek tylko iest zbyt prostém, w krótce w nich niesmak rodzi. Jm roskosze są większe, tym większe po sobie żądze i nudotę zostawuią. Roskosze prawdliwe są te, których osiągnienie żadnéy pracy i trudu niekosztuie. Mało kto ma wzgląd na tę prawdę gdyż ona zatrułaby może naszą spokoyność.

Swiat i społeczność podobne są do bibloteki w któréy na pierwszy rzut oka, wszystko się wydaie w naywiększym porządku, gdyż xięgi są ułożone podług oprawy i wielkości tomów, lecz gdzie w rzeczy samey wszystko iest w naywiększym nieładzie, gdyż nic tam nie uszykowano podług porządku umieiętności materyi autorów.

U kobiet miłość własna, iest obok miłości zmysłowéy, podchlebiay pierwszéy a pozyskasz drugą.

Rozkochany usiłuie bydź milszym niż przyiemnieyszym bydź może, i dla tego wszyscy rozkochani wydaią się nam dziwakami.

Wyiątek z francuzkiego tłómaczenia dzieł P. Pope. Epitre au Docteur.

Zamkniy wszystkie drzwi Janie, pospuszczay zapory,
Powyimuy z zamkow klucze i powiedź żem chory;
Powiedź że iuż umieram, powiedź że nie żyie . . . .
Boże wiele się tędy wierszokletow wiie!

Me

Me oczy, na tym placu, z przestra-
chém widziały,
Cały szpital szalonych, albo Parnas
cały,
Patrz no, iak ten półgłówek przez
ciżbę się tłóczy,
Bieży z papierem w ręku, iskrzą mu
się oczy.....
Przeciw temu roiowi, co mnie ze-
wsząd goni,
Jakiż cień mnie ukryie, iaki wał
zasłoni?
Oblegaią mnie wszędy, na ziemi na
wodźie,
Widzę ich w mym podwórzu, spoty-
kam w ogrodzie,
W lasach, w polu, nie mogę minąć się
z tą zgraią,
Szarpią mnie na ulicy, w kościele
sciskaią,
Albo gdy głód rozpędza róy tego
owadu, O-

Otwieraią drzwi moie, w godzinę obiadu.

Dobre zdanie

Pewien rozróżniał komedyią od traiedyi następuiącym sposobem: w komedyi, mówił ón, rzecz cała idzie o wesele, a w traiedyi o zabóystwo. Cała intryga, tak w iednéy, iak i w drugiéy, ukrywa iedynie ten nieprzewidziany wypadék, czy się będą żenić? czy nie? czy się zabiią? albo nie? — Maią się żenić, lub zabić, owoż pierwszy akt — Nie będą się żenić, lub zabiiać, drugi akt — Nowy się sposób odkrywa wesela, lub śmiérci w trzecim akcie — Przeszkoda niespodziána do ożenienia się, lub odięcia życia zaymuie akt czwar-

ty

ty — Na ostatek: znużeni długą wâlką żenią się, lub zabiią w ostatnim —

Lekarstwo na nudotę.

Wszak masz skarby rzekł Panu raz pewien gołota,
Widzę iednak iż zewsząd dręczy cię nudota,
Z tobą się ona kładzie, z tobą razem wstaie,
Ja choć biedny iednak iey nigdy nie doznaię,
Musi więc twoie złoto bydź nudów przyczyną,
Wiesz że coś mam ia na nie receptę iedyną,
Y muszę ci użyczyć w têm moiéy przysługi,
Oto day mi twe złoto, a weź moie długi.

Ane-

Anekdoty.

Przechodząc się dobrze ubrany kawaler w Paryżu, usłyszał idącego go za sobą kulawego żebraka, który go natrętnie prosił o iałmużnę. Sprzykrzywszy sobie uparte iego naleganie dał kawaler dukata żebrakowi — Nadtoś WPan dobry, rzekł mu nieznany przechodzień, że tyle daiesz temu hultaiowi, który kalekę kulawego udaie, ażeby wyprosić co bądź u ludzi; tak on dobrze chodzi iak i ia. Pozwol mi WPan na moment swoiéy laski a natychmiast mu tego dowiodę. W tém nieznaiomy bierze laskę Hrabiego, i goni za zmyslonym kaleką, który w saméy rzeczy iak zdrowy uciekać zaczął; obadwa w krótce znikneli. Hrabia zdziwiony czekał dość długo powrótu tego, który się po-

pe-

pędził za żebrakiem i razem oddania laski ze złotą gałką; ale ani iego, ani żebraka, więcey nie uyrzał.

Ubogi chłopek będąc iuż na śmiertelném łożu uczynił testament i rzekł swoiéy żonie „ wywdzięczaiąc się za twą przyiaźń dla mnie niezapomniałem o tobie. Wiesz, że mam konia, proszę cię sprzeday go i odday moim krewnym pieniądze, które za niego weźmiesz; mam psa przytém, tego tobie daruię, pewnym będąc, że ci się bardzo pożyteczném stanie „ Przyrzekła wypełnić rozkaz męża i pewnego dnia poszła wdowa na iarmark z psem i z koniem — Co chcesz za tego konia? zapyta ią pewien kupiec, chciałabym odpowie mu wdowa sprzedać konia i psa tego razem, więć ie-

żeli

żeli ci się drogo zdawać niebędzie, dasz mi pięć czerwonych złotych za psa, a dwa talary za konia. Ta iéy mowa zdziwiła mocno kupca, ale że mu się kón tanio trafiał wziął z nim psa i żądane pieniądze zapłacił. Tak więc skrupulatna wdówka w wypełnieniu ostatniéy woli męża, dała krewnym dwa talary, które za konia wzięła, a zatrzymała pieniądze które iéy kupiec za psa wyliczył.

W pewném posiedzeniu rozmawiano o szczęśliwych ludziach, którzy sukcessye wielkie niespodzianie biorą. Jeden z przytomnych rzekł: Ja się znikąd niczego niespodziéwam i wiém, że choćby sam djabeł umarł, rogów bym nawet iego nie dostał w sukcessyi. — Czyżeś niekontent z tych,

co

co nosisz? odpowie mu iego żona.

Kilka zebranych osób rozmawiało o dogmacie przéyścia dusz do innych ciał. Jeden z przytomnych rzekł, że pamiętał, iak był cielcem złotym. Straciłeś tylko pozłotę, odpowie mu pewna dama.

Zagadka.

W różne mnie kształty zmieniał wy-
mysł srogi,
Dziś wielu krzyczy, czemum nie-
skrzydlaty;
Lecz co naygorsza, oto noszę no-
gi.
Chociaż iak żyie niebyłem żona-
ty —

Rozwiązanie zagadki w Numerze poprzedzaiącym umieszczonéy. Gałka śniegu.

N° 10.

TYGODNIK WILENSKI

Dnia 25. Czerwca 1804.

Sielanka z Gesnera. (a)

Opis Burzy.

Nad przestrzenią wód słonych na skalistéy górze,
Którey spód Tyfern płócze uciekáiąc w morze,

(a) Te wiersze są przysłane bezimiennie dla umieszczenia w tym Tygodniku. K

Stali Battus i Lakon młodé skotopasy;
W tym się miała wzmódz burza — umilknęły lásy,
Scichł szelest — iuż się gibkie nie ruszą wiérzchołki,
Ptástwo z morza uciéká, śmigaią iaskółki,
Oni, do chat wysławszy pastuszków z trzodámi,
Chciwi patrzéć na burzę, pozostali sámi.
„ Straszna cisza „ rzekł Lakon, a sérce mu biło:
„Czyliż nam kiedy słońce tak smutno świeciło?
Zaszło iuż, oto za te, dżdżem ładowné chmury,
Patrz! iak się w koło brzégów dmą pieniste góry,

Szczer-

Szczérniało całe morze — scichło —
lecz côż potém?
Gdy ta cichość straszliwym skończy
się łoskotem;
Cóś huczy! iakiś smutny szmér po-
wstaie zdala!
Tak rozpâcz ięczy, gdy ią zbiég nie-
szczęść przywala,
Battus na to: „ mgłá czarna dnia
obliczé tłumi,
Huk okropniéy przeraża, wicher sro-
żéy szumi,
Pomniész te, nad strych wody wy-
sepki wźniesione,
Ktôż ie teráz obaczy? noc okryła
one;
Czasem tylko w ciemnościach błyśnie,
i wnet zniká,
Z téy zamorskiéy latarni słâby blásk
płomyká.

Ale

Ale.... ach! iuż wiatr zawył, wyparłszy się z chmury,
Wárknął w powietrzu, głębie przewrócił do gôry;
Otoż i burza, otóż wściekłê iéy igrzyská,
Jakáś rozkosz z boiaźnią piérś moią uciská!
Ach! iak gwáłtowna wrzáwa między bałwanami,
Ale wiész co Łakonie! wszak chatka za námi,
Popâtrzmy! ieźlić miło na to widowisko;
Popátrzmy, rzecze Lakon, wszakże chatka blisko.
Fale się rozhukały, czarna ryczy szarga,
Wiatr szumi w drzew wierzchółkach, i pnie z posad tárga,

Na-

Naksztáłt skał z dna przepaści wylatuią wały,
Y z hałasem się na dno wracaią, iak skały,
Ta łuna przeraźliwa, co tak ostro błyská,
Powiększa okropności tego widowiska.
Ach Bogi! .... wszak to okręt.,... patrz, iak ptak na skale,
Tak się ón trzymá na tym rozdąsanym wale.
Ah! spadł, i gdzież on teraz? gdzie ty nowo biedna?
Gdzie wy nędzni!...Połknęła ich przepáść bezedna,
Lecz.....oto! czy mnie oczy moie nieźwodzicie?...
Zda mi się, że go bałwan znôw dźwignął na grzbiecie,

O

O bogowie! pomożcie, by tę dolę przebył,
Ah! nowy zgniótł go bałwan, źnikł tak, iakby niebył . . .
O wy! w polach oyczystych, w swéy dostatni chacie,
Czegóż po téy bezdennéy przestrzeni szukácie?
Czy wam chleba zabrakło? czy wasz dochód mały?
Bogactw chcecie, nieszczęśni! . . Oto zysk wasz cały.
Wasze żony, i dzieci, i starzy rodzice,
Nieraz westchną naprôżno, łzami zleią lice;
Nie raz palić ofiary przyidą do Kościołów,
A was fale wyrzucą na pastwo sokołów;

Grob

Grob was czeka w oyczyźnie, to wieczne mieszkanie,
Zamkną się inne groby, wasz próżny zostanie.
Bogowie! kto was wzywa, wy temu życzliwi,
Daycie nam myśl spokoyną, a będziém szczęśliwi ——

Zdanie pewnego filozofa o przywiązaniu kmieci do psów.

Kto tylko wieś iaką widział, uważał zapewna, że nayubożsi kmiecie choć sami często są bez kawałka chleba, iednakże niema z nich żadnego któryby psa niemiał. Te psy nayczęściéy umieią warować, służyć, podawać a umęczeni w wydoskonaleniu się w tych sztukach, są zapewne nay-

nie-

nieszczęśliwszémi stworzeniami pod słońcem. Zkądże to przywiązanie kmiotków do psów pochodzi? posłuchaymy w téy mierze rozumowania pewnego filozofa, którego nikt dotąd o paradoxe posądzić nieśmiał. Każdy człowiek, powiada on, chce drugiemu rozkazywać, a że w stanie cywilnym chłopek ostatnią będąc klassą, nikomu rozkazać nie może, obiera sobie zwierzę aby na kim bądz chęć władania wykonał. W tém więc stosunku każdy ma psa swego: Wezyr iest psem Sułtana, Szef Janczarów iest psem Wezyra, Basza iest psem Szefa Janczarów, żona iest psem męża, albo mąż iest często psem żony, nakoniec ludzie słabi, są psami ludzi odważnych lub silnych. Lecz kiedy Elegantka, maiąc dóm i ludzi swoich, w pieskach tylko ma upodobanie, i

na

na ich żywność tyle obraca ileby na utrzymanie ubogiéy familii wystarczyło; cóż to znaczy? Ostre w téy mierze iest zdanie mego filozofa, to właśnie powiada on, iest satyrą na podobne damy, które oboiętne i znudzone wszystkim, nie kochaiąc i niebędąc iuż od nikogo kochane, psóm oddaią to uczucie którego niewiedzą gdzie podzieć.

Człowiek bez pieniędzy.

Człowiek bez pieniędzy iest ciałem bez duszy, trupem chodzącym, straszydłem. Obcowanie iego smutne, rozmowa rozwlekła i nudna. Jeśli komu chce oddać wizytę, nikogo w domu nigdy zastać niemoże. Przerywaią mu gdy co chce mówić, boiąc się

aby

aby pieniędzy nie prosił. Chronią się przed nim iak przed zapowietrzonym. Każdy go próżnym ciężarem ziemi nazywa. Potrzeba go budzi, a nędza mu do łoża towarzyszy. Kobiety go maią za naybrzydszego. Zywiący go gospodarze wymagaią po nim aby żył wiatrem. Gdy przychodzi do sklepu pytaią się go nayprzód czy ma pieniądze i t. d.

Odwiedzaiąc przyiaciela.

Cóż to w iakim Olimp stanie?...
 Jest więc samotnym w téy chwili?
Wszak Bogowie swe mieszkanie
 U Damona założyli.
Patrz, ten co w nagłéy potrzebie,
 Bywał posłem do natury,
Naywiększy intrygant w niebie:

Na

Na oknie stoi Merkury.
Ten, co dawał złote wieki,
Nayzgrzybialszy w bogów gminie,
Co miodem zaprawiał rzeki,
Saturn stoi na kominie.
Tu i Matka wdzięków miła,
Y cały iéy dwór wesoły,
Miasto Pafos porzuciła,
Y świetne w knidos kościoły,
Y Eskułap tu się trudzi.
Ukochali cię Bogowie;
O naypobożnieyszy z ludzi!
„Biada zniemi „ on mi powie.

Zdania Arabów.

Powiedz temu który się naśmiewa z twego nieszczęścia, że los poczciwych tylko ściga. Czyż niewidzisz pływaiących scierwów po wierzchu mo-

morza, gdy tym czasem perły na dnie leżą nieznane? Chociaż tysiące gwiazd nam przyswiecaią, iedno tylko Słonce i Xiężyć podległe są zacmieniu.

Bądź skromnym tak iak gwiazda, która choć swieci na niebie, iednakże wgłębi wód, blask swôy odbiia; a nie iak dym, który choć brzydki i ciemny, iednakże się w górę wznosi.

Swiat zbyt iest szczupłém mieszkaniem dla dwóch nieprzyiaciół.

Milczenie naylepiéy nierozsądek głupiego pokrywa.

Ci, którym się dobrze powodzi, nie

my-

myslą o tamtym swiecie: będący zaś w nieszczęsciu, teraznieyszém się tylko życiem trudzą.

Kto zwleka zły postępek, iuż go tym samym zaczyna.

Trwoga znika, gdy nadeszło nieszczęście.

Anekdoty.

Fontenelle często zwykł mawiać, trzy są rzeczy, za któremi zawsze szalałem, i którychem nigdy niemógł wyrozumieć, to iest: malarstwa Muzyki, i kobiéty.

Pytano go się, czyliby kiedy zakochanym niebył? czasem mi się to z rana przytrafia, odpowiedział.

Pewien literat pisząc romans, prosił Skarona aby mu podał mysl, iakieby rozwiązanie w nim umiescić, chciałbym go bowiem (rzecze) zupełnie w nowym guscie zakończyć. Nic łatwieyszego, odpowie mu Skaron, każ swoią heroinę na publicznym placu powiesić, to zakonczenie każdego zadziwi, możesz bydź pewien że iest nowém, i że iego nikt dotąd nieużył.

Sala w którey Akademia Francuzka miewała swoie posiedzenia, dość była szczupłą. Dnia pewnego Piron

ron za tłokiem niemogąc się wcisnąć, rzekł: iak widzę trudniey iest nierównie weyść, niżeli bydź przyiętym do grona tuteyszych mędrców.

Zegarek i Butelka

BAYKA

Ze się powadzić można lada fraszką,
Dnia pewnego zegarek pokłucił się
'z flaszką,
Jaka tam była ich sporów podnieta,
Dociec nie można. To tylko słyszałem
Ze twór misterny ręki B r e g u e t a,
Gromił butelkę i gromił z zapałem,
Umkniy mi z oczu nikczemne naczynie,
Wołał zegarek: iakaż korzyść z ciebie
Mo-

Moiey zaś człowiek dziękuiąc ma-
chinie,
Pewny czas każdey oznacza potrzebie.
Ja iestem pracy naylepszym wymia-
rem,
Skazówką czasu, samych Niebios da-
rem.
Nie przeczę temu, odpowie butelka:
Jednak twa łaska dla człeka niewiel-
ka;
Choć mu wymierza czas twoia sprę-
żyna,
Zemną on wesół gdy go zapomina.

---

*Odpowiedz na zagadkę Nume-
ru przeszłego*: — Kapelusz —

N° 11.

TYGODNIK WILENSKI

Dnia 2. *Lipca* 1804.

o Spazmach, Waporach, i o poznaniu siebie; tudziesz o Profesorze Lichtenbergu stosownie do téy materyi. Wyiątek z paryskiego dziennika *Archives Litteraires.*

O bolu! wołał, iak wiadomo Filozof **Possidonius** dręczony pedogrą „ nie zmusisz mnie nigdy do wyznania iakcbyś złém bydź miał „

L Za-

Zachodzi może troche kontradykcyi w tym sposobie tłómaczenia się; ale są momenta, w których zupełnéy dokładności w wyrazach nie można wymagać nawet od Filozofa.

Pewna kobiéta która chciała udadź, że się nigdy nie gniewa, zwykła była mówić swoiéy garderobianie kiedy ią do niecierpliwości przyprowadzała „Rób WPanna co chcesz, bądź pewną, że mnie nie rozgniewasz „ Zapewne te słowa zastępowały u niey tupanie nogą, albo okazanie innego znaku gniewu. Tak własnie Possidonius zamiast krzyku i ięków, powtarzał „O bolu! nie, nie iesteś złém„ Każdy odmiennym sposobem czucie swoie wyraża.

Jednak przyznać potrzeba, że sposób Possidoniusza lepszym iest od innych, wiele iuż korzysta ten, którego miłość własna wśród boleści ro-

rozerwać może. Bo i to, że się czémś zabawia, nieiakąś mu ulgę w cierpieniach przynosi. Mężniéyby zaiste znosił ie ten, któregoby w tym razie uczucie cnoty wspierało, ale któż wie czy i miłość własna z czasem do téy doskonałości przywieść nie może? przynaymnie człowiek miłością własną wsparty, czuie wtedy, że ma duszę, bo ią naylepiéy cierpienia i bole postrzegać nam daią. W stanie spokoynym, kiedy krew z łatwością bieg swóy odprawia, kiedy uczucia równie łatwo działaią, kiedy sen spoczynek ciału, a rzezwość umysłowi powraca, kiedy w nas wszystko, że tak powiem, równym krokiem idzie; nie ieden złudzony bydź może tą myslą, że wyobrażenia od żołądka do nas przychodzą, że czułość w pacierzowey kości mieszka, o czém

nas

nas tak często przekonać chciano, nie wiem dla czego; bo w takim razie niemielibyśmy się z czego cieszyć ani chełpić.

Sześć lat temu, iak umarł w Niemczech professor fizyki w uniwersytecie Getingen, zwany Lichtenberg. Zostawił po sobie dzieła bardzo dowcipne, nie będziem tu o nich wzmiankowali, ale opiszemy charakter tego człowieka, tak iak go sam odmalował w dzienniku, w którym wszystkie myśli swoie zapisywał.

Bardzo go szpetnym na świat wydała natura, i zdawało się, że go iakąś nieregularnością fizycznie i moralnie dotknęła, chociaż serce iego było dobre, dusza cnotliwa, a umysł bystry i oryginalny. Ale przez słabość swego temperamentu poddany wzruszeniom nerwowym, których prawie

wie bez ustanku doznawał; wsród bolów, dziwactw i przykrych uczuciów, które takowa komplexya za sobą wiedzie, Lichtenberg umiał zachować w sobie zdolność ich uważania, pewnéy im naznaczenia przyczyny i poznania ich wpływu zwodniczego, chociaż żadną miarą nie mógł się im odiąć.

Jego zdrowie prawiê zawsze w tym go stawiło stanie, który iest zwyczayny namieiętnościóm, i w którym, podług zdania P. Larochefoucault, niemamy dość siły, żebyśmy się ściśle prawideł rozumu trzymali.

„W tém iest całe moie nieszczęście, mówi Lichtenberg, że nigdy nie exystuię na tym świecie, ale w mnóstwie marzeń, które mi stwarza imaginacya. Tak przepędzam większą część czasu, a rozum móy nie iest częstokroć

w

w stanie wziąść przewagę nad podobnemi chimerami. „ Moia hipokondrya, dodaie on, iest właściwie zdolnością wyciągania na móy własny użytek naywięcéy ile bydź może trucizny z każdego zdarzenia w życiu. Ktoby uwierzył, mówi daléy, ilem się martwił, przypomniawszy sobie, żem od dwudziestu lat, trzy razy raz poraz niekichał. „ Kiedy kogo takie myśli martwią, wiele zaiste ten trosków w życiu znaleść może.

„Każdą rzecz widzieć z złey strony, obawiać się wszystkiego, zdrowie samo uważać za stan, w którym człowiek choroby nieczuie, oto iest charakter którybym naylepiéy odmalować potrafił, bobym tylko móy własny w téy mierze opisał. Słabość duszy, iest prawdziwém nazwiskiém moiey choroby; ale iakże z niéy wyliczonym bydź można? „ Wiem

„Wiem teraz co to iest nabrać odwagi i kiedy kto, ma tę odwagę łatwo mu iest wléwać ią w drugich.„ „Ach! gdybym choć raz mógł się odważyć bydź zawsze zdrowym! „

Taka była w saméy rzeczy moc iego imaginacyi, ktôrey, iakim bądź nieporządkiem wewnętrznym wzruszonéy, wstrzymać nigdy niemógł; czasem tak silno władała nad iego organami, że dawała mu doznawać takie uczucia, których przyczyna w iego tylko głowie exystowała. „Pewnego wieczora, mówi on, leżąc włóżku niespałem ieszcze, w tém napada mnie boiaźń ognia, ktôrey sobie z głowy wybić niemogłem, zdawało mi się, żem przy nogach moich czuł gorącość płomienia, ktôra się stopniami powiększała, w tém zaczęto na gwałt dzwonić, ogień się wszczął w

dość

dość odległém domie, Podobnież mó-
wi on, w czasie, kiedy iego nerwy
naymocniey wzruszone były, iak np:
gdy zawiele kawy użył; wszystkiego
się lękał a nawet tego hałasu, który
mu dopiero póżniey dawał się sły-
szeć. Ztąd wnosi, że prócz uszu
mamy też insze organa do
słyszenia. Ta myśl iak sam Lich-
tenberg powiada, iest osobliwą, a
zwłaszcza w Professorze Fizyki.

Mimo to iednak nienależy rozumieć,
ażeby dzikie zapędy imaginacyi wpły-
wać miały na iego postępowanie, albo
na zdania, które publicznie wykładał;
pominąwszy niektòre zdrożności, któ-
re słabościom iego przypisać można,
Lichtenberg miany był za czło-
wieka rozsądnego i dobrze myslącego.

Reszta potem.

Ko.

Kościoł przeznaczenia z Dorata.

Daleko od piorunów i burzy królewstwa,
Tam gdzie miliona światów ostatnia granica,
Wznosi się niedostępna zepsuciu świątnica,
Panuiąc nad przepaścią wieków i nicestwa.
Tróyną miedzią Wszechmocność iey mury powlekła,
Y kiedy się iey bramy otworzą z łoskotem,
Drzą zasady wzruszone stalnych zawias grzmotem,
A ryk chrapliwy sięga aż do granic piekła.
Nasze taiemne szluby, prożby i układy,
Na-

Nasze skargi, i łzami skropione o-
fiary,
Rozpraszaią się wszystkie, iak zni-
kome pary
Około nieprzybytey tych murów za-
wady.
Tam ięko naszym każda iest zapar-
tą droga,
Żale nasze w okropne echa przemie-
nione,
Próżno się wznoszą, próżno udaią w
tę stronę;
Nigdy nie dôydą uszów tèy swiątyni
Boga.
Twarda przed okiem Jego tablica
miedziana,
Całe pasmo przyszłości w punkt iedy-
ny zbiera;
W ręku ma urnę, losy co świata za-
wiera;

Oś

Oś czasu słucha tylko woli tego
Pana.
Tam pod sklepieniem z twardey wy-
kowanym stali,
Z niewzruszonego tronu Przezna-
czenie włada,
Nieprzebyta granica i wieczna zawa-
da,
Którey moc połączonych światów nie
obali.
Ztwarzą nieporuszoną, surową, ponu-
rą,
Z tego mieysca potrzeba niczym
niezbłagana,
Tak zawsze nielitośna, zawsze usłu-
chana,
Rozciąga stalne berło nad całą natu-
rą,
Otwiéra przepaść, z którey iuż nic
niepowstawa,

Ze-

Zelazną ręką czoła Monarchow ugniata,
Ogarnia swym łancuchem niezmierzoność świata,
Y powiada do czasu „słuchay mego prawa."

Przepowiedzenia.

Dwóch kochanków bić się będą o piękną pannę, lecz gdy ich walka będzie bliska końca, ona im powie: nadto mnie dotyka wasza zwada; przeto by was pogodzić, oznaymuię wam, żem sobie obrała trzeciego, który mnie prawdziwie szczęsliwą uczyni.

Trzech autorów obcować będą z sobą trzy godziny, niekrytykuiąc nawzaiem dzieł swoich. Lecz to zdarzenie nigdy się pono nieprzytrafi.

Nadspodziewanie wszystkich, pewien

wien bez rozumu, bez wsparcia, protekcyi, pracy i usiłowania, zrobi nagle znaczny maiątek. Jakimże sposobem? oto wygra mu piątka, a on ią na poiezdzie, guzikach i półmiskach w mieyscu herbu umieści, gdyż wdzięczność nie iest pospolitą cnotą.

Piosnka Pana Ségur.

Z początku człowieka kryła
Cney niewinności zasłona,
Lecz by miłość wiek przeżyła,
Skromność wynalazła żona.
Boiąc się wstrętu i aby
Stać się pięknieyszą sto razy,
Przykryła swoie powaby,
Liściem drzewa w mieyscu gazy.

Piękność mnie często zaślepia,
Lecz wstyd do miłości skłania;
Tey się chronię, co zaczepia,

Za

Za tą ginę, co się wzbrania.
Skromność iest taynią przyłudną,
Ona wzrusza martwe głazy;
Wenus wtedy była cudną,
Gdy swóy pas przypięła z gazy.

Ach! iak kobiet stróy przed laty,
Tysiączne miał niewygody!
Rogówki, fałdziste szaty,
Jleż w miłości przeszkody!
Szczęściem dziś się lepiey noszą,
Biorąc z wolności obrazy,
Między wstydem a rozkoszą,
Troche tylko kładą gazy.

Gdy piękność malować mamy;
Niech ta z pod cieniów przegląda;
Małe dla żądz naszych tamy
Czynią, że się bardziey żąda.
Y sam powab bez przykrycia,
Tysiącby sprawił odrazy,
Kto chce uczuć słodycz życia,

Niech

Niech wszędzie używa gazy.

Anekdoty.

Pewna elegantka mówiła raz do pijaka: Słuchay, lat iuż dziesięć iak iestem wdową, a nigdy naymnieyszey chętki niemiałam do małżeństwa. — WPani widzę iedney zemną natury, bo też i ia, iak żyię, nigdy nieczułem pragnienia.

Pewien podróżny opisuiąc swoie rozbicie się, mówił: przybywszy do nieznaiomego kraiu, przez kilkanaście godzin chodząc tu i ówdzie, naymnieyszego śladu niedostrzegłem mieszkania ludzi. Naostatek z wielkim ukontentowaniem postrzegłem nieszczęśliwego wiszącego na szubienicy. Dzięki Niebu! zawołałém, téraz wiem, że się znayduię w kraiu cywilizowanym.

Za-

Zagadka.

Każdy się w téy przestrzeni dla mnie
 tylko trudzi;
Móy wdzięk za równo Królów iak
 pasterzów ludzi;
Chociem płocha i zdradna, kochaią
 mnie stale;
Wzmacniam męstwo rycerza w po=
 tyczek zapale;
Ja głuchym robię maytka na szum
 wzdętey wody;
Nie ieden ufny we mnie plasł poeta
 młody;
Ulgę czynię nieszczęsnym w naysmu=
 tnieyszéy toni:
Lecz się starość naybardziéy pod me
 skrzydła chroni;
Co chwila zginąć mogę i powstać co
 chwila;
Moim się wdziękiem przyszłość dla
 człeka przymila;
Niepodobność wystawiam łatwą do
 przebycia;
Bezemnie człekby tylko czuł go=
 rycze życia;
Ty wreście, by mnie zgadnąć, i by
 odpowiedzieć,
Gdybym cię niemamiła, niechciałbyś
 się biedzieć.

N° 12.

TYGODNIK WILENSKI

Dnia 9. *Lipca* 1804.

Kantata z J. B. Rousseau (a)

Ledwo co bladâ iutrzenka noc cie-
mną
Zegnała z nieba w iaśkinię podzie-
mną;
Czystá Dyiana wprzód ieszeze w śród
lásu,

(a) Te wiérsze są przysłane bezimiennie dla umieszczenie w tym Tygodniku. M Kr.

Krętémi źwiérza wyśledzaiąc drożki,
Postrzegła przesmyk, gdzie używał wczasu
Synek Wenery i Cyteru Bożki.
Staie Bogini pełna zadziwienia,
Wkrótce się dziw iéy w nienawiść zamiénia;
Temi więc słowy wywiéra złość srogą
Na śpiących, ktòrzy słyszeć iéy niemogą:

O! Wy, pod których kaydany,
Jęczy nieszczęśliwych tyle;
Spiycie okrutne tyrany,
Daycie światu spocząć chwilę!

Póki noc ieszcze, i póki
Z snu się obudzi zgraia ta,
Łamiąc ich strzały i łuki,
Zapewnim szczęście dla świata.

O!

O! Wy, pod których kaydany, i t. d.

To rzekłszy: sáma zbliża się bez trwogi,
Nimf boiazliwych za nią orszak cały
Skrada się z cicha na te zbóycze Bogi.
Drzącémi dłônmi Saydaki chwytały,
Y wnet okryły łąkę i gay blizki,
Połamanemi pociski.
Wôd, gór i lasów z okolicy całêy
Bostwa, winszować im przybiegały.
Szydząc z bezbronnych sił nieprzyiaciela
Spiewały na znak wesela:
Jakaż radość! iaka chwała!
Y iaka chluba wspaniała!
Już bez strzał miłości bogi.
Rwiycie więzy serca młode!
Ani o żadną przygodę

Nie

Nie mieycie na przyszłość trwogi.
Jakaż radość! iaka chwała! i t. d.

Synek Wenery ocknął się na wrzawę,
Otwiera oczy, iakież ocknienie się,
Jak smutny widok „ Bogi niełaskawe!
„ Broń mi popsuli, rozsiali po lesie,
„ Czekaycie zdraycy, w śród tego nieładu,
„ Jeszcze z mych broni iedna się została.
„ Niech się świat z tego nauczy przykładu.
Rzekł... z gniéwnéy ręki wylatuie strzała
Y w sérce trafia Dyianie.
Sprawiedliwe, ale może
Nadto srogie ukáranie.
Tak się mścisz miłości Bożê.

Nim miłość we śnie,
Czciymy ią wcześnie,

Z

Z trwogi, by w czasie
Nie ocknęła się.

Ze ktoś iéy skradnie
Strzały, cóż z tego?
Jeźli nie zgadnie;
Która na niego.

Nim miłość we śnie, i t. d.

Dalszy ciąg o Spazmach, Waporach, i Profesorze *Lichtenbergu*.

Zdaie się, że piękność natury nie czyniła na Lichtenbergu takiego wrażenia, iakie zwykła czynić na innych. Lichtenberg utrzymuie, że z równą przyiemnością można rozmyślać w śród giełdy kupców Amsterdamskich, iak w głębi lasu; gdyż powiada on, niemasz żadnéy przyczyny, dla któréyby giełda ta nie była tak

tak przyiemną, iak iest zachwycaiącym szum wiatru, który liście porusza, i że kupcy, zaięci mnóstwem interesów, równie niezważaią na kogoś wśród nich zamyślonego, iak i dęby, pod których cieniem poeta tworzy obrazy.

Mawiał on „ ilem razy wbił cwiek do sc.any, zawsze byłem ciekawy wiedzieć, co się też stanie nim go wyciągnę. W listopadzie przybiłem przy moim łóżku nową tabliczkę do pisania, a kiedym cwiek ten odeymował, iuż przyiaciel móy Shernongen nieżył, straciłem dziecię i nadzieię iechania do włoch „

Równie nałóg iak i talent postrzegania, były cechą charakterystyczną dowcipu Lichtenberga.

„ Szczęsliwy byłbym, mówi on, gdybym nie tak dobrze umiał był po-

poznać serce człowieka. Zyskałem wprawdzie na tém, że łatwiéy złościom ludzi przebaczam, ale za to też niedbam iuż o ich pochwały. Sama tylko nienawiść mogłaby mi sprawić nieiakąś roskosz. Bo gdy diabeł uczęszcza na iakie mieysce, zapewniaią czarownicy, że w tém mieyscu skarb iest ukryty, gdy zaś zazdrość ściga ciebie, ani wątpić, że w wykonaném przedsięwzięciu na prawdziwą zasłużyłeś chwałę. Pochwały robią sławę, ale sama tylko zazdrość iest ich naypewnieyszym dowodem.

Z tém wszystkiém ten Lichtenberg, którego, iak sam powiada, pochwała iednego przyiaciela, mogła zrobić wyższym nad zdanie całego świata, drżał na naymnieyszy pozór szyderstwa. Zart niedo uszczypliwy straszliwie go oburzał. Byle się

kto

kto zaśmiał w pokoiu gdzie się on znaydował, wnet spóyrzał nań krzywém okiem. Ta niecierpliwość tak mu w nałóg weszła, że go skłoniła do unikania społeczności, chociaż wszyscy żądali z nim obcować, dla przyiemności iego obyczaiów, oryginalności dowcipu i szacunku, który mu iego talenta i charakter ziednały. Od téy właśnie epoki, zaczął on czynić ciekawe nad sobą samym dostrzeżenia, i te nayważnieyszą stały się odtąd dla niego zabawą.

„Miałem pociechę, mówi Lichtenberg, w moiéy niedołężności z tego ukontentowania, żem umiał ią w sobie postrzedz. Radość z każdego nowego w téy mierze odkrycia pochodząca przewyższała smutek, iaki postrzeżenie nowéy we mnie przywary sprawiać musiało. W takowym razie

zie Professor brał górę nad człowiekiem,,

Diderot będąc razu iednego chorym, radził się pewnego doktora, który był iego przyiacielem, Doktor słuchał go uważnie, i za każdym wymienionym symptomatem, wołał: dobrze, bardzo dobrze. Gdy zaś Diderot skończył opowiadanie, ach! kochany przyiacielu, rzekł doktor, co za szczęście! wszak to choroba na którą się WPan skarżysz, iest właśnie pituita vitrosa zwana u dawnych, którą rozumieliśmy, żeśmy iuż na zawsze utracili. Tu także Professor wziął górę nad człowiekiem, i niewątpię bynaymniéy, iż ten doktor zakochany w swoiéy sztuce, cieszyłby się nawet, gdyby w sobie samym znalazł chorobę oddawna zatraconą;

na; tak iak Lichtenberg wiele czuł roskoszy z odkrycia wady dotąd sobie nieznanéy. Nałóg spekulizowania, iakoteż ciągłe zagłębianie się w iakieyś szczególnéy nauce, może przyzwyczaić rozum, do uważania przedmiotów pod iednym tylko względem, usuwaiąc wszelkie wyobrażenie ich stosunków z innemi przedmiotami. Y tak, pożar który połowę miasta niszczy, iest prześlicznym pożarem dla malarza. Dla człowieka lubiącego zgłębiać materyę polityczne, oszukaństwo, lub niesprawiedliwość zręcznie popełniona, iest bardzo piękną kombinacyą. Nałóg ten, może się stać mniéy lub więcéy szkodliwym w miarę mnieyszéy lub większéy władzy, iaką mamy nad naszą imaginacyą.

Reszta potem.

Czté.

Cztèry kaleki.

Pewien człowiek niemy i głuchy z urodzenia, traktował z ślepym o rzecz małéy wagi; slepy tłómaczył się przez migi, które dobrze niemy rozumiał, ale migi niemego były dla slepego niezrozumiałemi. W tém przykrém zdarzeniu zawołali do siebie pewnego przyiąciela, który na nieszczęście był bez ręki. Ten słównie tłómaczył znaki i gesta niemego, i tym także sposobem ślepy uwiadamiał go o interesie. Wypadek téy konferencyi był taki: że trzeba było list napisać. Moi przyiaciele! rzekł bez ręki, tak się daleko moia biegłość nierozciąga, ale poprośmy sąsiada naszego Bakałarza, niech nam go przyidzie napisać. Jakże to może uczynić? rzekł slepy, kiedy ten biedak tak mo-

cno

cno kuleie, że na krok z domu wyiść nie może. Chodźmy sami do niego, poszli więc do kulawego Bakałarza, ślepy i bez ręki list mu podyktowali Bakałarz im napisał, a niemy go podług adressu zaniosł. Dośćby było dwóch osób do wykonania téy rzeczy, która z trudnością cztérech kaleków zaięła.

Gdyby się rzecz ta za naszych czasów w Agaryi nieprzytrafiła, gdyby od stu swiadków potwierdzoną niebyła, mniemaćby można, że ią krytyk wymyslił iedynie, aby odmalować w tém opisie to, co się w posiedzeniu literackiém dzieie, gdzie pospolicie kilku zebranych mędrców z potém czoła nad naylichszą pracuie fraszką.

Anekdoty.

We wszystkich prawie północnych kra-

kraiach, miłość gry iest panuiącą namiętnością, znacznieysi mieszkance miast, przy téy iedynie zabawie spędzaią długie zimowe wieczory. Przyzwyczaienie się, rodzi potrzebę grania, która powoli zamienia się w powszechną namiętność. W Meklemburgu, gdzie taż namiętność panuie, trzech znaiomych zbierało się na umówione mieysce grać w L o m b r a. Pewnego wieczora graiąc z sobą ieden rzekł, n i e b i o r ę, i w tém uderzony A p o p l e x y ą pada prawie bez duchu na podłogę, sąsiad blizki biegnie go ratować, gdy tymczasem ieden z graiących zbiera karty umieraiącego, przebiega ie uważnię, i rzecze z flegmą „ byłby przegrał „

Pewien miał haniebną sprawę w Trybunale Paryzkim, i nim otrzymał De-

Dekret, zachorował i umarł. Doktor który go leczył w téy chorobie, rzekł: „ wyprowadziłem go z interessu.

Fontanna i Studnia.

B A Y K A.

W pysznym bogacza ogrodzie,
Zmieniono naturę wodzie,
Że wytryskuiąc z swey rury
Biła dziesięć stóp do góry,
Y wzniosłszy się tak wysoko,
Bawiła i myśl i oko,
Tam kształcąc płynne sklepienie,
Łamała słońca promienie;
Y farb rozlicznych tysiące
Malowały krople drżące.
Spadłszy potém sztuką nową
Na miednicę marmurową,
Ztamtąd cicho i wspaniale

W

W świetnym płyneły kanale.
Blizko têy cudownéy wody,
Pysznéy ze swoiey urody,
Studnia na wzgórku pozioma,
Którey daszek kryła słoma,
Martwą wodą bydź się zdała,
Y fontanna nią wzgardzała,
Niewiedząc że ta krynica
Bystre iéy nurty podsyca.
W têm zgnilizną nadpsowana
Pękła iedna studni ściana,
Woda wraz w tę przerwę płynie,
Y leie się porôwninie,
Już fontanna lot swey głowy,
Unižyła do półowy,
Z zapasu ogołocona
Bystrość iéy wyrzutu kona,
Ostatecznéy zguby bliżka,
Ledwo nad rury wytryska,
Ofiara tego przypadku,
Przestała bić na ostatku,

Y z iéy budowy wspaniałéy,
Smutne obaliny stały.
Bogaczu niech cię to uczy,
Że ten lud który cię tuczy,
Co twe napełnia szpichlerze,
Gdy mu się reszta zabierze,
Gdy go chciwość ogołoci,
Twa się wielkość w nic obróci.

Zagadka.

Astronomom wskazuię sloty i pogody;
Nie ieden móy iad pomniąc stał się dobrym młody;
Natchnieni mym przemysłem złodzieie, handlarze,
Syci zysków, przez wdzięczność stawią mi Ołtarze.
Ty wreście gdy mnie zgadniesz niezdziwi to ciebie,
Żem kruszcem i oszustem, chociaż mieszkam w Niebie.

Odpowiedź na zagadkę Numeru przeszłego: Nadzieia.